Nr. 14. Kraków, 15 Lipca 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

Od Wydawnictwa.

Wysyłka następnego numeru „Myśli“ będzie bezwarunkowo wstrzymaną tym z Sz. Prenumeratorów, którzy dotąd przedpłaty nie odnowili. Prosimy zatem o wyrównanie zaległości do końca bm.

Polecamy pismo nasze Sz. Zarządom zdrojowisk, zwracając ich uwagę, że „Myśl“, jako jedyny organ literacko-społeczny w Polsce, nie podlegający cenzurze prewencyjnej, stanowi, zwłaszcza dla osób z Królestwa, najpożądańszą lekturę.

Międzynarodowa wystawa w Wiedniu.

List III.

(Oddział polski).

U samej krawędzi oddziału historyi muzyki z XIX w. wyznaczono miejsce — polskiej sztuce.

Za wiele już pisano o nieszczęsnem umieszczeniu przedmiotów wystawy polskiej. Nie chcę zarzutów powtarzać, ani wymieniać sprawców niefortunnego podziału i rozkładu zbiorów. Mówiono mi, że „polityczne“ (!) względy nie mało zaważyły w całej tej sprawie i że potężnym wrogom Polski chodziło o to, aby oddział polski nie przedstawiał się zbyt świetnie.

Z trudnością wywalczono tedy nowe trzy ściany do poprzednio udzielonego miejsca; na wielką osobną salę, jak ją ma Hiszpania, albo choćby Bułgarya, zezwolić nie chciano.

To też zawiera wystawa polska bardzo mało — a dzięki konieczności wystawienia zbiorów wzdłuż ścian galeryi, okrążającej rotundę,— bardzo niejasno tylko rozmieszczone przedmioty. Niepodobna wykombinować sobie bez znajomości choć pobieżnej teatru polskiego, porządku i znaczenia zbiorów. Podczas gdy w oddziałach innych każdy widz uczyć się może historyi teatru i muzyki, w polskim oddziele trudno mu coś zrozumieć bez objaśnień.

Prawdziwie pięknym jest tylko pokój Chopina nie zewnętrzną formą, ale uporządkowaniem przedmiotów i bogactwem pamiątek po mistrzu. Liczne portrety i obrazy przypominają wielkiego muzyka; jego autografy, listy i kompozycye wypełniły jedną szafkę; dwa instrumenta, na których grywał stoją w pokoju, nieme i smutne świadki wielkich natchnień i tryumfów. Możnaby na tych kilku przedmiotach opowiedzieć główne wypadki z życia Fr. Chopina. Obraz Siemiradzkiego, przedstawiający Chopina u Radziwiłła przenosi nas w rok 1829, kiedy młody muzyk bawił w Antoninach i grywał rodzinie księcia swoje porywające improwizacye. Niektóre z nich doczekały się po śmierci dopiero wydania. Wiadomo, że Chopin surowo krytykował własne utwory. Wielką część ich przeznaczył na zniszczenie po śmierci. Z improwizacyi jego mało co doszło nas, gdyż rzadko co spisywał. Pobyt Chopina w Antoninach (wsi należącej do ks. Ant. Radziwiłła) został w listach do przyjaciół dość obszernie skreślony. Chopin przysłuchiwał się tam muzyce księcia i z wielkiemi wyraża się pochwałami o jego kompozycyi do „Fausta.“ A i z czasów pierwszej młodości muzyka nasuwają się reminiscencye w pokoju Chopina.

Jest tu gramatyka łacińska, z której uczył się języka wedle „nowego sposobu łatwego uczenia języka łacińskiego“ i polonez na fortepian, ułożony i poświęcony nauczycielowi A. Żywnemu przez 11-toletniego ucznia. Z czasów też pobytu Chopina jeszcze w kraju pochodzą prawdopodobnie warjacye na flet i fortepian, których autograf wystawiono a które do dziś nie wyszły jeszcze drukiem. Reszta pamiątek bez wyjątku odnosi się do lat w Paryżu spędzonych.

Z pamiątek tych na szczególną uwagę zasługują autografy. Wystawiono zbiór listów do Alberta Grzymały i kilka notatek z ręki Chopina. Widać z tych listów, w jak ścisłej zażyłości pozostawał muzyk z rodakami. Jego styl — znany skądinąd — znamionuje wielki talent poetycki i jest to ogromną i niepowetowaną stratą dla historyi sztuki polskiej, że listy Chopina do rodziny w większej części zaginęły; podczas powstania w r. 1863, stały się one pastwą płomieni i plądrujących kozaków.

Nowych szczegółów biograficznych autografy nie zawierają — ale jak słupy milowe znaczą drogę mistrza w Paryżu. W pierwszych latach nie znalazł uznania, zamyślał nawet emigrować do Ameryki i dzięki tylko poleceniom ks. Radziwiłła, dawszy się poznać w salonach baronów finansowych (w pierwszym rzędzie u Rotszylda) zyskał rozgłos a następnie zmusił do uwielbienia i tych, co zrazu niechętni mu byli. Królowa Marya Amalia, żona Ludwika Filippa I z największemi względami traktowała Chopina. Z garnituru porcelanowego, który przesłała mu w upominku została tylko waza, wystawiona obecnie między pamiątkami. Ary Scheffer malował Chopina, Clesinger rzeźbił go w marmurze. Jego towarzystwo oznaczało powodzenie salonu, wyrywano go sobie, a choć słaby w latach późniejszych, nie potrafił się ociągać i czyniąc zadość wymaganiom towarzyskim, czuwając po nocach, improwizując i grając — przyspieszył rozwój swej choroby. Dobił go nieszczęsny stosunek z powieściopisarką: George Sand (p. Dudevant).

Stosunek ten przypominają listy do Grzymały, w których Chopin prosi przyjaciela, aby go odwiedził w Nohant a zarazem donosi, że pani S. pisze nowy romans. Z autografów wspomnieć jeszcze należy o pieśni do słów Mickiewicza: „Moja pieszczotka“ i o układzie na fortepian melodyi: „Steh auf, du Schweizer Bub!“ poświęconym pani Sowińskiej.

Z ostatnich lat życia Chopina przechowało się kilka sprzętów z jego pokoju: dwie szafki, fortepian, krzesło. Z fortepianem tym wiąże się smutna historya ostatnich kompozycyi Chopina i ostatnich dni jego życia. Przy tym fortepianie śpiewała mu Delfina Potocka na dwa dni przed jego zgonem, przy nim powstała ostatnia kompozycya (mazurek 4-ty op. 68). Smutne dni te ilustrują obrazki Kwiatkowskiego, przedstawiające Chopina na łożu śmiertelnem a przy nim: księżniczkę Czartoryską, Grzymałę, malarza Kwiatkowskiego i siostrę Chopina, panią Jędrzejewiczową, która na wiadomość o ciężkim stanie choroby brata na kilkanaście dni przed jego śmiercią przyjechała do Paryża. Pośmiertne maski okazują piękne i po skonie oblicze muzyka; bukiecik zaschłych kwiatów, obwiązanych czarną gazą budzi smutne reminiscencye pogrzebu, o którym z opisów wiadomo że odbył sie z ogromnym udziałem całego świata literackiego i muzykalnego Paryża — nekrologi wreszcie świadczą o powszechnem uznaniu geniuszu polskiego muzyka.

Inne zbiory wystawy polskiej wypada trochę pobieżniej omówić. Książki stare, antyfonary, mszały i kancyonały tak niefortunnie umieszczono, że większej ich części nawet tytułów odczytać nie można. O historyi muzyki w Polsce, o jej rozwoju, dzięki temu układowi i pojęcia mieć nie można, ale cenne znajdują się na wystawie zabytki, które dla znawców wielką zapewne mają wartość. Widzimy pieśń Bogarodzica, tekst i muzykę wedle najdawniejszych pomników; z późniejszych czasów aż po wiek XV nic nie wystawiono. Z wieku XV jedynie antyfonar z miniaturami świetnemi na pergaminie zwraca na siebie uwagę. Inne rękopisy pochodzą z Włoch lub Niemiec. Teorya muzyki bardzo dobrze jest zastąpiona dziełami: Felsztyńskiego (z r. 1515) Jerzego z Lignicy (1534), Spangenberga (z r. 1546) Dębołeńskiego (z r. 1616), Starowolskiego (z r. 1650) wreszcie Sierakowskiego (z r. 1795). Kompozycye Gomółki (melodye na psałterz Kochanowskiego z r. 1583) i kantyczki, wydawane u Andrysowicza, przypominają wielki rozwój muzyki w Polsce w XVI wieku. Potem nastaje epoka zastoju w poezyi, naukach i sztukach. Ale w pierwszej połowie wieku XVII żyją jeszcze wielkie tradycye w kompozycyach Zieleńskiego, w dyalogach z pieśniami w podręczniku Gorczyńskiego: „Tabulatura muzyki albo zaprawa muzykalna.“ Wojny nieszczęśliwe, rozterki we-

wnętrzne, smutne rządy samolubnych królów saskich nie dały rozwinąć się sztuce krajowej. Ani muzyka, ani poezya dramatyczna, po świetnych, tyle rokujących początkach w złotym wieku, nie znalazły narodowych twórców. „Odprawa posłów" i kościelne pieśni XVI w. są wielkiemi ale też jedynemi pomnikami swego czasu. W XVII wieku wystawiano wprawdzie opery i dramata ale tylko włoskie i francuskie. Morsztyna przekład Cyda grany był dobrze, ale nikogo nie zachęcił do dalszych, jedyna wieku tego komedya Piotra Baryki: „Z chłopa król" zapomnianą została.

Za Stanisława Augusta dopiero, dzięki rozbudzonemu duchowi samodzielności narodowej — rodzi się teatr i opera polska. Znakomici kompozytorowie i wirtuozowie włoscy, żyjący czas niejaki w Warszawie: Paisiello, Viotti, Pugnani wielki wywarli wpływ na podniesienie smaku artystów polskich. Bogusławski i Kamieński stają się twórcami opery polskiej i sztuki ludowej. „Nędza uszczęśliwiona" Kamieńskiego, której kopię wystawiono, odegraną została w r. 1778. Dzieje teatru warszawskiego poniekąd odczytać można na wystawionych afiszach. Nie bardzo to świetne były czasy dla sceny polskiej. Z aktorów najstarszych widzimy na rycinach: Bogusławskiego i Truskolaską; Truskolaska prosi liścikiem do dyrekcyi o zaliczkę **jednego dukata**, którego koniecznie potrzebuje — sławna swego czasu śpiewaczka. Gorzej dzieje się we Lwowie, bo tu Kamiński J. N.: fortelami zdobywać musi pozwolenie na wystawienie utworów polskich a wydając znakomity swój przekład Wallensteina — pokornie prosi o subskrypcyą i pisze listy do mecenasów. Jeden taki list do Strzebelskiego wystawiono.

Portret Stanisława Augusta, obrazy wnętrza teatru w Warszawie, pędzla Canaletta i tancerki Małeckiej Bacciarellego przypominają nam zasługi ostatniego króla około podniesienia sztuki narodowej. Niestety polityczne nieszczęścia sparaliżowały najlepsze zamysły. Teatr warszawski smutny wiódł nieraz żywot, mimo talentów takich jak Alojzy Żółkowski, którego pośbę pokorną do dyrekcyi o wsparcie z r. 1824 odczytać tu można.

Afisze z r. 1830 już w samych swoich tytułach: „Powstanie narodu" „Popłoch na Moskali" dowodzą rozbudzonej w całem społeczeństwie idei niepodległości politycznej. Kompozytorowie owych czasów: Elsner, Kurpiński, Mirecki i Lipiński reprezentowani są autografami kompozycyi, listów, artykułami w pismach. Lipiński w otwartym liście w „Gaz. Warszawskiej" z dnia 16 czerwca 1829 zaprzecza pogłoskom, jakoby był uczniem Paganiniego. Afisze obok tego listu umieszczone przywodzą na pamięć sławne koncerta: Lipińskiego i Paganiniego w Piacenzy.

Z nowszych czasów: Moniuszko i Żeleński kilku autografami a Paderewski, Modrzejewska, Hofmanowa, Nowakowski i Smochowski portretami Ajdukiewicza i innych zastąpieni są na wystawie. Cały szereg fotografii artystów teatrów: krakowskiego, lwowskiego, poznańskiego i warszawskiego przenosi nas w dnie obecne. Z wielkich dramatyków polskich wystawiono popiersia: Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego; portrety: Wężyka, Szujskiego, Fredry, Korzeniowskiego i innych.

Wystawa ma więc, jak widać choćby z tego wyrwanego przezemnie z masy materyału, dość pamiątek przeszłości i gdyby ugrupowanie było chronologiczne przynajmniej, możnaby ją odwiedzać z daleko większym pożytkiem i z większem też śledzić zajęciem.

Na razie dobrze jeszcze wypadło, że pozyskano kilka nowych ścian i porozstawiano jako tako nadesłane zbiory. Nie wyłącznie też zawinił u nas komitet: więcej daleko winną jest ospałość ogółu, który, mimo wielokrotnych odezw, nie nadsyłał żadnych pamiątek, tak, że o każdy najmniejszy bodaj przedmiot trzeba było staczać prawdziwą walkę.

Dr. H. M.

Z „Preludyów."

Tam — — oby cisza już była na wieki,
Tam — — jeśli wzniosą się jeszcze powieki,
To oby po to, by w jasność niedrżącą,
W blask skrysztalony spoglądać milcząco,
I ginąć w bezdniach sennego błękitu,
I nic już nie czuć, nawet swego bytu.

Kazimierz Tetmajer.

O SŁOWACKIM.

(Uwagi nad „Lillą Wenedą")

napisał Dr. Henryk Monat.

(Ciąg dalszy)

Nie mniej upadają zarzuty, podniesione przeciw cudownemu rzekomo wybawieniu Derwida od śmierci przez węże grą na harfie. Podróżnicy indyjscy podają wielokrotnie w swoich opisach kraju, że kuglarze grą na piszczałce zwabiają okularniki (naja tribudians) i wyłamawszy im zęby uczą tańców i różnych sztuczek. W ludzie naszym przechowuje się podanie o wężach, przysłuchujących się muzyce — podanie jak widać nie tak niezgodne z rzeczywistością. Z podania więc tego mógł poeta korzystać. Lilla Weneda wywabia węże z wieży grą na harfie a ojciec stary spokojnie zasypia:

Ale już widać, że jej białe ręce
Mdleją na strunach, że się pieśń zakończy —
Życiem harfiarki w głodnych wężów paszczy!

Jeśliby rozkaz Gwinony rzucenia wężom Derwida mógł kosztować czyjeś życie, to w każdym razie nie upatrzonej przez dumną królowę ofiary. Z gniewem więc wykrzykuje: „Zwyciężyła!" — i każe Derwida zamknąć w podziemnej ciemnicy i zamorzyć głodem. Następujące potem ocalenie ojca od śmierci głodowej dość jasno się już przedstawia. Lilla Weneda z wiankiem lilii na głowie błaga o wpuszczenie do więzienia ojca a uzyskawszy wstęp, karmi go liliami.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

10) **EMILA ZOLĘ.**

Ale Chouteau obejrzał się na Pacha, z którego teraz zakpić przyszła mu ochota.

— Albo i ty, co wierzysz w Boga!.. Przecież ten twój Bóg, dobry Bóg... zakazał się bić... A więc... nicponiu jeden, pocóżeś ty się tu znalazł!?..

— Ale!.. — odparł Pache zdziwiony — czy to ja tu dla mojej przyjemności jestem!?..

Wiecie wy wszyscy cobyśmy tu zrobili, gdybyśmy byli porządnymi chłopcami co się zmieści!.. Co?.. Oto widzicie!.. jak nas teraz zaraz z tej ciasnej beczki wyładują, poszlibyśmy spokojniutko, precz gdzie pieprz rośnie... Niech sobie tam cała klika i te generały funta kłaków nie warte, rozprawiają jak chcą z prusakami.

Oklaski rozległy się dokoła, zepsucie działało i Chouteau tryumfował, wygłaszając swoje teorye, w których razem się mieszały: rzeczpospolita, prawa człowieka, spróchniały rząd, który zrzucić trzeba, zdrada wszystkich wodzów, z których każdy się sprzedał za milion, albo i więcej... jak to wszyscy wiedzą doskonale. Nazywał siebie rewolucyonistą i wołał, że inni nawet nie wiedzą, czy są republikanami, i w jaki to sposób jest się republikaninem, z wyjątkiem jednego Loubeta, który z pewnością wie czem jest, bo on jest „zupojad" i basta!...

Wszyscy słuchali, mało rozumieli, ale porwani prądem niechęci, wzmocnionej przez wszystkie niewygody i cierpienia, jakie przebyli, wszyscy wymyślali przeciw Napoleonowi, przeciw wodzom, oficerom i przeciw temu podłemu porządkowi, który puszczą w trąbę przy pierwszej okazyi!...

Poddmuchując ich pijaństwo, z każdą chwilą rosnące, Chouteau z pod oka zerkał na Maurycego, na panicza, którego zabawiał specyalnie i był dumny z tego, że go ma po swojej stronie. Chciał go jeszcze bardziej pozyskać i roznamiętnić i dla tego przyszło mu na myśl napaść na Jana, siedzącego bez ruchu i jakby drzemiącego dotychczas półsnem, w pośród tego całego hałasu. Jeżeli od owej chwili, kiedy kapral dał ochotnikowi taką potężną nauczkę, zmuszając go do podniesienia porzuconego karabina, Maurycy ma jeszcze złość do swego bezpośredniego zwierzchnika, to właśnie wyborna teraz nadawała się chwila do podjudzenia tych dwóch ludzi przeciw sobie.

— To zupełnie tak jak ci, co to ja ich znam, co gadali o tem, że nas każą rozstrzelać! — zaczął na nowo Chouteau groźnie. — Padalcy!... oni nas traktują jak zwierzęta i gorzej jeszcze i nie rozumieją, że jak kto ma dosyć i worka na plecach i podłej broni na ramieniu, to rzuca wszystko do stu dyabłów na drogę i pole!... Co mu tam!... A może z tego siewu worki i flinty na polu porosną!... Słuchajcie chłopcy!... a coby też powiedzieli tacy, gdybyśmy tak teraz, kiedy ich mamy tu w kąciku sam na sam ze sobą, spróbowali ich wyrzucić przez okno na tor kolejowy?... Cóż myślicie!... koledzy!... Dobra!?... Tak sobie widzicie dla przykładu!?... Jeden i drugi koziołka wywinie, to się trzeci namyśli i tą głupią wojną nie będzie nam głowy zawracał!.. Śmierć służalcom!.. Śmierć tym, co chcą, żeby się bić!...

Jan zaczerwienił się mocno pod prądem krwi, jaki mu gniew i oburzenie do twarzy napędziło. Jakkolwiek ściśnięty przez sąsiadów, niby w kleszczach żywych, podniósł się, pięści ścisnął i wyciągnął naprzód swą twarz rozognioną, i krzyknął tak okropnie, że Chouteau aż zbladł ze strachu.

Możnaby z pewnemi wątpliwościami przyjąć opowiadanie poety, który pisze w liście do Krasińskiego, że jadąc przez błota Pińskie widział chłopów, jedzących łodygi lilii z braku chleba — ale trudno nie wierzyć bardzo ścisłym badaczom, podróżnikom australskim: Burkemu i Kingowi, kiedy opowiadają, że sami żywili się przez jakiś czas kielichami kwiatów gatunku Cephalotae i rodzaju Nardon.

Poeta często przypominał sobie te błota pińskie i lilie wodne. W liście z dnia 30 czerwca 1835 pisze do matki: „Pamiętasz mamo te węże, które widzieliśmy kiedyś na moczarach pinskich, obwijające się około lilii wodnych i grzejące się na słońcu? Chciałbym na rzece żywota znaleść taki biały kwiat, obwinąć się koło niego i zasnąć.“

Z tych wspomnień weszły przeto do dramatu i węże, które Lilla Weneda ucisza grą na harfie i ocalenie Derwida od śmierci głodowej liliami.

Wprawdzie nakarmienie ojca przez Lillę nie wybawia go jeszcze od śmierci głodowej, bo cóżby przeszkodziło Gwinonie, aby go dłużej jeszcze kazała przytrzymać w więzieniu — ale duma królowej lechickiej tak dobitnie została skreślona przez poetę, że choćby nie zaszedł wypadek pojmania jej syna Lechona, który ją zmusza do łagodniejszego obchodzenia się z Wenedami, to już dzięki tej wygórowanej dumie, puściłaby Derwida na wolność!

Gwinona wypuszcza tedy Derwida z niewoli — zatrzymuje jednak harfę, przyrzekając odesłać ją w zamian za Lechona, lub za Lillę Wenedę, jako zakładniczkę. Lechona zabiła jednak Róża Weneda na ofiarę. Kiedy więc Lilla przybywa sama po harfę, Gwinona wściekła z gniewu a i bez świadków swego wiarołomstwa, dusi ją. W chwili tej nikt nie może jej przypomnieć przyrzeczenia danego, że odeśle harfę.

Lech walczy właśnie z Wenedami a Derwid czeka na swój złoty instrument, od którego zwycięstwo zawisło. W tem przynoszą skrzynię cedrową a w niej zamiast harfy ciało Lilli Wenedy. Pieśń rozpaczy wyrywa się z piersi króla Wenedów, walka ostateczna stracona — naród ginie.

Cóż znaczy ta cudowna złota harfa, która wyczarować ma zwycięstwo? Nie potrzeba nawet na tłumaczenie jej przypuszczać alegoryi, nie potrzeba szukać w strunach narzędzia muzycznego starych cnót narodowych, ani poezyi, ani miłości ojczyzny, choć to wszystko symbolicznie przywiązywać zwykliśmy do lutni i harf i choć wszystko to i poeta miał na myśli, tworząc ów myt niezaśpiewanej pieśni zwycięskiej. Chciałbym tylko w tej harfie widzieć prastary sztandar narodu, nic mistycznego, nic zaziemskiego, chciałbym widzieć złoty, dotykalny proporzec hufców, za którego jasnym przewodem szły na śmierć. Czem jest zielona chorągiew proroka? A przejdźmy do jeszcze bliższych przykładów. Gdyby ktoś staremu rycerstwu polskiemu w XVI wieku nagle przed bitwą przeciw Turkom odjął był możność zaśpiewania hymnu: „Bogarodzica“ pieśni, która jak gromowy głos Bożych piorunów wiekami całemi od kolebki Chrobrego grzmiała w uszy przerażonym wrogom, gdyby ktoś był odjął rycerstwu polskiemu możność śpiewania tej pieśni, odjął jakby Bożym wyrokiem, cóż za klęska zakończyłaby bój, jaki pogrom!

Gdyby zresztą harfa Wenedyjska nawet istotnie miała władzę czarów, to poeta nie przedstawił nam przecie swojej wiary w tę moc, ale wiarę Wenedów! Dopóki zaś cuda na scenie nie dzieją się, póki umarli nie wstają z grobów, duchy i upiory się nie jawią, póty złudzeniu naszemu, jakie artysta winien wywołać, wiara ta Wenedów nie stoi na zawadzie!

Z którego punktu widzenia roztrząsać zechcemy wprowadzenie harfy złotej do dramatu, musimy go poecie policzyć za równie oryginalny, jak szczytny pomysł!

Cudowności przesadnej w dramacie niema. O wiele więcej posiadają go: Hamlet, Makbet, Sen nocy letniej, Dziewica orleańska, że nie wspomnę o dramatach Calderona („Czarnoksiężnik“ „Uwielbienie krzyża“ i inne).

Cudownemi wypadkami w Lilli Wenedzie są jedynie przepowiednia Derwida, że Gwinona umrze za trzy dni, śmierć Polelum od błyskawicy i zjawienie się Bogarodzicy na stosie. Przepowiednia bowiem wróżki Róży Wenedy, że naród zginie za trzy dni i związane z tą przepowiednią przeczucie śmierci brata jej Polelum łatwo dadzą się wyjaśnić oznaczeniem terminu ostatecznego boju, którego wynik mogła przewidywać. Razi chyba jedynie śmierć Polelum od błyskawicy! Zjawienie się Bogarodzicy jest tylko w oczach Św. Gwalberta spełnieniem cudu przepowiedzianego. Wyczekuje on tego zjawiska i w „widmie w obręczy z płomyków“ upatruje Boga Rodzicę. Śmierć zaś Gwinony tak pięknie jest umotywowaną, że zapominamy o przepowiedniach Derwida. Wiarołomna żona umiera, jak jej kochanek Salmon, rzucając się zapamiętale na wroga — oboje nie od oręża. A wszystkie te cuda z wyjątkiem chyba błyskawicy, zabijającej Polelum, są w luźnym bardzo związku z główną osnową dramatu.

Opuścić możnaby i przepowiednię Derwida i zjawienie się Bogarodzicy nad stosem ostatniego Weneda, które ma być tylko apoteozą tego, co prawdziwie wielkiem było już w pogaństwie — a dramat nic na tem nie ucierpi.

Nadto więcej nas rażą przepowiednie takie, jak w „Juliuszu Cezarze,“ gdzie duch Cezara zjawia się Brutusowi w obozie pod Sardes i przepowiada mu słowami: „Obaczym się pod Filippami“ walkę w Grecyi z dokładnem podaniem miejscowości! Więcej razić musi zerwanie okowów w „Dziewicy Orleańskiej.“ Takie próbki mocy Bożej na otwartej scenie są w rzeczy samej za śmiałe!

A w dramacie Słowackiego, odgrywającym się w czasach zamierzchłych, w epoce przedhistorycznej, cudowność ma daleko większe uprawnienie, niż w utworach bliższych nam czasem, pojęciami i działającemi osobami.

A te postacie działające dramatu? Skąd wziął je Słowacki? Poeta sam odpowiada na to pytanie w liście do Krasińskiego. W r. 1835 mieszkał nad jeziorem Lemańskiem i tu koło

---

— Do miliona stutysięcy dyabłów!... milcz już raz świnio, jedna brudna i podła!... Już godziny całe siedzę spokojnie i nic nie mówię, kiedy już teraz niema władzy i kiedy cię durnin do kozy posadzić nie mogę!... Ale tak szelmo!... tak!... byłbym oddał prawdziwą przysługę naszemu pułkowi, gdybym go był oswobodził od takiej nikczemnej gadziny, jaką ty jesteś!... Ale słuchaj!... od teraz kiedy już nie ma kar, ja ci mówię, że ze mną będziesz miał do czynienia! Nie ma tu kaprala, tylko jest uczciwy człowiek, któremu się twoje świństwa już znudziły i który ci mordę zamknie!... Podły tchórzu!... ty się nie chcesz bić i potrzebujesz innych namawiać, żeby i oni też nie chcieli!... Powtórz to jeszcze raz, a zobaczysz jak ci zęby wylecą!...

Już cały wagon porwany pięknem zuchwalstwem Jana odrazu zmienił zdanie i opuścił Chouteau, który jąkał coś pod nosem, cofając się ile mógł przed potężnemi pięściami przeciwnika.

— I wiedz o tem psie jeden marny!... że ja sobie kpię, z jakichś tam partyj, tak samo jak z ciebie!... Dla mnie polityka... rzeczpospolita czy cesarstwo... to jeden dyabeł zawsze był i jest... i tak samo dziś, jak wtedy, kiedym pole orał i zboże żąć pragnąłem i pragnę jednej tylko rzeczy: szczęścia dla wszystkich, porządku, rozwoju interesów i basta!... Naturalnie, że bić się, to nikomu do smaku nie przypada!... Ale jednak mimo to trzebaby pod mur postawić tych łajdaków, którzy innym odwagę odbierają wtedy, gdy i bez tego trudno jest pełnić swój obowiązek z honorem.

Ze zwykłą tłumów zmiennością w zdaniach i namiętnościach i ten tłum żołnierzy, który przed chwilą popierał słowa Chouteau, teraz gromem oklasków przyjął wybuch kaprala. Jan skończył powtórzeniem przysięgi swej, że własną pięścią „rozorze mordę“ temu ze swego plutonu, co słowo piśnie przeciw wojnie!... Brawo kapral!... rozprawimy się z Bismarkiem!... zobaczy!...

Wśród tej dzikiej owacyi, Jan już uspokojony, grzecznie zwrócił się do Maurycego, jak gdyby nie do swego podwładnego przemawiał i rzekł:

— Pan przecież z tchórzami trzymać nie będziesz!... Wierz mi pan!... jeszcze nie jesteśmy pobici i przyjdzie chwila, że my im kurtę skroimy, a nie oni nam!...

W tej chwili Maurycy poczuł, jakby gorący promień jasnego słońca do serca mu spływał. Stał jakiś przejęty i upokorzony zarazem. Jakto!... więc ten chłop prosty jest czemś więcej niż bydlę zwyczajne!... I przypomniał sobie tę chwilę strasznej dla niego nienawiści, gdy mu kazał podnieść karabin, porzucony w momencie zapomnienia się i moralnej nieświadomości!...

Ale przypomniał sobie też swoje zdziwienie na widok tych wielkich dwóch łez w oczach kaprala, wtedy, gdy ta stara babka z rozwianemi na cztery wiatry włosami złorzeczyła im, wskazując Ren tam w dali, za linią horyzontu.

Czy to braterstwo wspólnych niewygód i jednakich cierpień razem przebytych, zabiera też i wsiąka w siebie tę jego nienawiść i ten żal serdeczny?... On, z rodu bonapartystów, nigdy nie marzył o rzeczypospolitej inaczej jak w teoryi, a nawet czuł w sobie pewną słabość dla osoby Napoleona III. Za wojną był i uważał ją jako konieczną dla życia narodów. Nagle wróciła mu nadzieja w jednym takim przeskoku wyobraźni, jakie u niego czasami się zdarzały, i ten entuzyazm, z jakim owego wieczoru do wojska przystał na ochotnika, na nowo zapałał w nim, wypełniając jego serce pewnością zwycięstwa.

— Nic pewniejszego panie kapral!... zawołał wesoło — skroimy im kurtę!...

Wagon toczył się, toczył ciągle, unosząc swój ładunek ludzki, w gęstym dymie fajek i duszącem gorącu ział na siebie nawalonych,

zamku Chillon znalazł napis łaciński na grobie Julii Alpinuli, córki kapłana, która ojca od śmierci nie mogąc ocalić, umarła licząc lat 23. Napis ten jest falsyfikatem, Słowackiego jednak podówczas wzruszył i niebawem zrodziła się w głowie jego postać młodej dziewczyny, chcącej ojca od śmierci wybawić, postać czarująca Lilli Wenedy. Postać ta jest wyłączną własnością poety, nic ona nie przypomina i nikogo. Obok niej zrodziły się inne postacie wenedyjskie i mniej już oryginalne, choć z niezwykłą siłą oddane postacie Lechitów.

Zarzucano poecie reminiscencye z Szekspira. Ale któremuż z nowoczesnych poetów nie można ich zarzucić! Czyż Clarchen Goethego nie ma żadnych podobieństw z kochankami Szekspira? „Czy Zbójcy“ Szyllera nie zaczerpnęły głównego wątku i całej swej intrygi powaśnienia ojca z synem z historyi Glosterów w „Królu Learze.“ Czy Franciszek Mohr nie jest odbiciem z Edmunda Glostera i „Ryszarda Trzeciego?“ A w iluż scenach poeta niemiecki nie zadłużył się u tytana nowszej poezyi, pisząc swoją „Dziewicę Orleańską?“

Są i w poezyi prawdy tak proste, typy tak wieczne, że nie można ich odtwarzać dwa razy w różny sposób. Choćby i Słowacki nie znał Szekspira, Gwinonę swoję malować musiał w sposób taki, jak angielski poeta Małgorzatę w „Królu Henryku VI.“ Nie ulega żadnej wątpliwości, że poeta polski zostawał długo pod wpływem Szekspira, że Balladyna zwłaszcza grzeszy rażącemi nieraz reminiscencyami. Wiedział o tem sam Słowacki.

W dramacie „Jan Kazimierz,“ wydanym z pośmiertnych fragmentów, jest scena pierwsza w manuskrypcie przekreślona, w której Marya Ludwika uczy się po polsku u p. Kalinowskiej. Widocznie spostrzegł się poeta, że zbyt rażące byłoby podobieństwo sceny tej do nauki języka angielskiego księżniczki Katarzyny w Henryku V Szekspira, spostrzegł się i scenę przekreślił. W „Lilli Wenedzie“ też widzieć się daje wpływ Szekspira, ale wpływ ten wcale nie może uwłaczać genialnej oryginalności utworu. Porównajmy kilka wybitniejszych postaci dramatu polskiego z pokrewnemi figurami teatru angielskiego.

Zacznijmy od Ślaza. Ślaz, wedle słów poety w liście do Krasińskiego, jest „mniejszą mrówką ludzkości, pełną kłamstwa, wybiegów i tchórzostwa.“ Jest to człowiek, co żyć chce bez trudu, co nie ma zamysłu szkodzić nikomu, ale też nie wiele go udręcza sumienie, jeśli kłamstwem swem, które chwilową ma mu przynieść korzyść, zniszczy czyjąś egzystencyą. Jako sługa Św. Gwalberta, uprzykrzywszy sobie modlitwy i posty, pali celę swego pana, potem zabija, czy dobija Salmona i w zbroi jego wkrada się w służbę Lecha. Kiedy w służbie tej i niewygodnie mu i niebezpieczeństwo spostrzega dla siebie, ubiera w zbroję dawnego swego pana, który przyszedł Lecha prosić o uwolnienie Derwida, i robi zeń — jak się wyraża — Świętego Salmona. Wreszcie ucieka do Wenedów i zmyślonemi swemi powieściami o zabójstwie Lilli i Derwida sprowadza śmierć pojmanego Lechona i staje się pośrednio sprawcą ostatecznej klęski Wenedów, gdy dobiciem Salmona poruszył w jego kochance Gwinonie wszystkie piekielne namiętności, których cały wylew spada na głowę króla Derwida. Nie jest to człowiek, który rzeczy z zamysłem sprowadza, nie jest on jednem słowem charakterem dramatycznym. Przypadek nim rządzi a on kręci się z wiatrem i szuka, kędy uda mu się coś uchwycić dla siebie. (C. d. n.).

WOLNE MYŚLI.

(Koresp. specyalna).

Szczawnica 11 lipca.

„Napisz Pan coś ze Szczawnicy“ — temi słowy raczył mnie pożegnać redaktor Myśli. Przyzwyczajony słyszeć w chwili wsiadania do wagonu stereotypowe słowa: „a pisz!“ odpowiedziałem również stereotypowo: „jak tylko przyjadę, zaraz napiszę,“ nie zastanowiwszy się, że tu nie idzie o list zwyczajny, ale o korespondencyę, mającą ukazać się na szpaltach Myśli.

Zanim się opamiętałem, zawołał konduktor po galicyjsku: Abfahrt! ktoś inny gwizdnął, maszynista puścił parę, zabrzękły łańcuchy, zgrzytnęły żelaza, nastąpiło przyjemne wstrząśnienie wagonów i pociąg ruszył ku stacji Podgórze-Płaszów.

Nie miałem czasu na odwołanie przyrzeczenia. Stało się — kobyła u płotu.

Choć to niby drobnostka napisanie korespondencyi ze zdrojowiska, boć codziennie widzimy ich kilka w każdym dzienniku, to przecież zmienia się djablo sytuacya na niekorzyść piszącego, jeżeli się „tworzy“ nie dla dziennika lecz dla pisma literackiego. Do pierwszego „wali się“ korespondencję na poczekaniu; oto wzór podług którego piszą wszyscy przygodni korespondenci:

„Pogoda tu prześliczna. Dzięki zapobiegliwości zarządu (lub pana X.) położono cztery kamienie na przejściu przez potoczek koło Bryndzówki i zasadzono 24 drzewek iglastych na południo-wschodzie Kapaniny. Wczoraj panna Pimpidelska dawała tu koncert na waltorni; oklaskom nie było końca, a wielbiciele talentu uroczej artystki ofiarowali jej bukiet z napisem na wstędze: „bądź zdrowa, trzymaj się ciepło.“ Zakład leczniczy D-ra Samca przechodzi ludzkie wyobrażenie; właściciel każdemu z pacyentów opuszcza 50% i odwozi go własnym balonem do stacji kolejowej. W ostatnich dniach przybyło tu 12,000 osób, nie licząc żydów i dzieci do lat 18-tu. Z wybitniejszych osób widzieliśmy: p. Antoniego Kobyłkę, współwłaściciela realności w Liszkach, p. Józefę Obzieralską żonę konduktora kolei lwowsko-czerniowieckiej, znakomitego reżysera teatrów amatorskich p. Sylwestra Kundelskiego, rodziny Marchewskich, Kapustowskich, Grzybkowiczów i Buraczkowskich. Na jutro zapowiedziany jest przyjazd p. Leonarda Korkociąga, stryjecznego brata hr. Wędzidłowskiej. Znany reunionista p. G. urządza w nadchodzącą sobotę wieczorek z tańcami. Jedyną piętą Achillesa uroczej miejscowości

---

rzucając stacyom zaniepokojonym, przez które przebiegano, chłopom z oczyma wystraszonemi, stojącym wzdłuż plantu swe piosnki bezecne, w wielkim krzyku wódczanego upojenia.

Dnia 20 sierpnia pułk 106 znalazł się w Paryżu na dworcu przedmieścia Pantin i nazajutrz wyruszył na Reims do obozu pod Chaloms.

III.

Ku wielkiemu zdziwieniu swemu Maurycy zauważył, że 106 pułk wysadzony został w Reims i otrzymał rozkaz obozowania w tem mieście. Więc nie idzie się do Chalons, więc się pułk do armii nie wciela?... I gdy we dwie godziny później ustawiono kozły z broni o milkę za miastem, w stronie Courcelles, na obszernej płaszczyźnie, ciągnącej się wzdłuż kanału, łączącego Aisnę z Marną, zdziwienie jego zwiększyło się jeszcze bardziej, gdy się dowiedział, że cała armia z pod Chalons cofa się i przychodzi obozować w toż samo miejsce. I rzeczywiście od jednego do drugiego skraju horyzontu od Saint Thierry i aż do Nouvellette i aż poza drogę do Laon prowadzącą, namioty się bieliły a wieczorem zabłysły ognie obozów czterech korpusów. Widocznie na radzie przeważył plan, wedle którego należało zająć pozycye pod Paryżem i tam oczekiwać prusaków. Maurycy był tem uszczęśliwiony, bo czyż nie jest to plan najrozsądniejszy?...

Całe popołudnie tego dnia 21 sierpnia Maurycy spędził na włóczeniu się po obozie, celem pochwycenia jakichś pozytywnych wiadomości. Swoboda była wielka, karność rozprzęgała się coraz bardziej, ludzie rozchodzili się dowolnie, wracali kiedy im fantazya własna nakazywała. On też mógł sobie spokojnie powrócić do Reims, gdzie chciał odebrać przekaz pocztowy na sto franków, które mu przysłała Henryka, siostra. W jednej kawiarni słyszał, jak jeden sierżant opowiadał o bardzo złym nastroju ducha w ośmnastu batalionach gwardyi mobilów departementu Sekwany, które to bataliony odesłano napowrót do Paryża. Szczególniej 6 batalion się buntował... o mało tam nie pozabijano oficerów. Tam znów w obozie codziennie zdarzały się wypadki, że generałom nawet wymyślano, a żołnierze nawet niektórzy nie chcieli salutować marszałka Mac-Mahona po porażce pod Fröschwiller!... W kawiarni głosy podnosiły się coraz bardziej i wypełniały salę i jakaś gwałtowna dyskusya wszczęła się pomiędzy dwoma spokojnymi mieszczanami o liczbę wojska, jakie się nagromadziło pod rokazy marszałka. Jeden mówił o trzechkroć stu tysiącach... ale to przecież szaleństwo!... Drugi rozsądniejszy obliczał te cztery korpusy: 12-ty z trudem dokompletowany już w obozie za pomocą jednego pułku piechoty liniowej i dywizyi piechoty marynarki, dalej korpus I. którego szczątki przybywały w rozsypce już od 14 sierpnia, z których kadry się mniej więcej reformują; potem 5-ty korpus rozbity bez walki, rozproszony i zdezorganizowany w odwrocie panicznym i nakoniec 7-y, który nadchodził także zdemoralizowany, zmniejszony o swoją pierwszą dywizyę, którą odnajdywał dopiero tutaj w Reims w największym nieładzie. Razem co najwyżej sto dwadzieścia tysięcy ludzi, licząc już w to rezerwę kawaleryi, dywizye generałów Bonnemain i Margueritte. Ale ów sierżant wmieszał się do kłótni, z wściekłą wzgardą wyrażając się o tej armii, o tem zbiegowisku ludzi bez spójni, o tem stadzie bezmyślnych istot, wiedzionem na rzeź przez głupców i idyotów. Słysząc to, dwaj mieszczanie, zaniepokojeni i przerażeni, bojąc się skompromitowania, wysunęli się cichaczem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„są kanapki w restauracji p. Flaczkowskiego; „na jednej z nich znalazłem wczoraj nieświeżą sardynkę i dwie świeże muchy.“

Szemat powyższy odstępuję bezpłatnie wszystkim klimatyczno-zdrojowym korespondentom. Niech tylko wstawią gdzie należy odpowiednie nazwy miejscowości i nazwiska osób, a będą mogli corocznie przez lat 20 z jednakowym skutkiem korzystać z podanego wzoru, pomnażając przez to swe zasługi literackie i podnosząc jednocześnie poziom naszego dziennikarstwa.

Czuję jak redaktor „Myśli,“ doczytawszy do tego miejsca, chce rzucić z niecierpliwością korespondencją ze Szczawnicy, w której niema nic dotąd... o Szczawnicy. A więc poprawiam się.

Przedewszystkiem zaręczam, że w Pieninach nic a nic się nie zmieniło. Trzy korony stoją na swojem miejscu, Sokolica także, Bryjarka ditto. Chcąc iść do Polanki musisz jak dawniej przejść koło Leśnego Potoku, a wracając z Polanki droga przez ten sam Leśny Potok prowadzi. Dunajec jak szumiał, tak szumi, a kąpiel w nim przenosi cię do raju, mokrego wprawdzie, ale „zdrowszego“ dla dzisiejszych Adamów, niż był raj biblijny dla naszego pra-pra-pra — (proszę pra powtórzyć pięćset razy) — szczura. A przyczyna różnicy między tymi rajami jest prawdopodobnie ta, że do szczawnickiego raju wchodzą białogłowy w innych, a my brzydacy w innych godzinach. Gdyby był Adam z Ewą osobno po raju chodzili... to świat byłby zapewne inaczej wyglądał, a w każdym razie ja nie pisałbym korespondencyi do „Myśli,“ bo nie szukałbym czystego powietrza aż w Szczawnicy, mając na wieki zdrowie zaasekurowane. Jeden to więcej powód dla mnie, aby do nieboszczki Ewy żywić głęboką w sercu urazę.

Ale wracajmy z raju do Szczawnicy. Fakt, że urocze Pieniny, ów majsterstyk natury, zostały na swojem miejscu, w połączeniu z drugim faktem, że w Szczawnicy popełniają wiele dobrych uczynków względem ciała, bo podróżnych w dom (i to wygodny z pościelą i dzwonkami elektrycznemi) przyjmują, łaknących karmią (dodajmy: przyzwoicie i tanio karmią), pragnących poją (czem kto chce, zacząwszy od Józefinki do Monopola), nagich przyodziewają (żydom w zbyt lekkich kostjumach chodzić już nie wolno), chorych nawiedzają (uczynek ten spełniają zwłaszcza lekarze za skromnem wynagrodzeniem) itd. itd., te dwa fakty, powtarzam, są dostateczne, aby w Szczawnicy czas przyjemnie, wygodnie i z pożytkiem dla zdrowia przepędzać.

Ale Szczawnica ma błędy i to błędy zdaje się nie do naprawienia: źle się nazywa i złe sobie obrała miejsce. Gdyby nazwa jej kończyła się na thal, bad, berg lub stein i gdyby stosownie do tego była dalej ku zachodowi posunięta, to właściciele jej mogliby orać czystej krwi arabami, zgrywać się nietylko na krakowskim ale paryzkim totalizatorze, jeździć własnym jachtem po Adrjatyku i Rudawie, a nawet pożyczyć „starodawnej stolicy Piastów i Jagiellonów“ parę groszy na budowę kanałów i wodociągów, przez co stolica owa nie byłaby zmuszoną bronić się przed cholerą... magistrackiemi plakatami. Ale, że Szczawnica leży w zakątku galicyjskim, a nie w Niemczech, Czechach, a choćby na naszym Szląsku, to właścicielka jej, Akademija Umiejętności, ma zaledwie kilkaset reńskich i parę grajcarów dochodu, a kłopotów co niemiara. Pretensje do Akademji tak rosną z każdym rokiem, że aż postanowiła Szczawnicę wypuścić w dzierżawę.

Ale komu? w tem sęk. Dzierżawca Szczawnicy potrzebuje w nią włożyć dość pieniędzy; musi przekształcić czy dobudować dworzec zdrojowy, zakupić las na Polanicy, aby porobić w nim spacery, zaprowadzić wodociągi, zalesić Bryjarkę i w ogóle nie ustawać na drodze ulepszeń. Potrzeba do tego plus minus sto tysięcy złr. jeżeli nie więcej. Ba! ale czy znajdzie się w Galicji człowiek, któryby mając sto tysięcy nie udawał co najmniej hrabiego i nie czuł wstrętu do „poniżających“ jego godność zajęć? Nasi przedsiębiorcy znowu, jak się puszczą na pole przedsiębiorcze, to co najwyżej.... stawiają domy czynszowe. Trzebaby im fundusz zahipotekować, zabezpieczyć przytem przynajmniej 25% od włożonego kapitału, a wówczas możeby... zaryzykowali. Właściciel hotelu w Karlsbadzie ma miljon lub dwa miljony majątku, a przyjmuje gości na progu i kłania się do ziemi, aby nowy miljon zarobić, — u nas kto ma dziesiątą część miljona ten podaje jeden palec na powitanie professorowi gimnazjalnemu, sędziemu, lub gołemu „literacie.“

Jedynem wyjściem byłaby spółka akcyjna, złożona przeważnie z doktorów medycyny. Gdyby na czele jej stanął, lub w imieniu jej rządził. człowiek energiczny, wiedzący że on jest dla instytucji, a nie instytucja dla niego, gdyby oprócz przedsiębiorczości i inicjatywy, uznał on doniosłość koniecznej dziś reklamy, to w prędkim czasie spółką odbiłaby poczynione zakłady i ładny zysk miałaby corocznie do podziału. Prócz tego i zysk moralny przypadłby spółce w udziale, bo podniesienie „perły“ zdrojowisk naszych położonoby w rubryce dochodów w bilansie społecznym.

Poruszyłem sprawę reklamy. Akademija, jako naukowa instytucja, czuje do niej wstręt może i uzasadniony. Ale właściciel czy dzierżawca Szczawnicy jest i musi być przedsiębiorcą. Na najmniejszej stacji kolejowej rozlepione są olbrzymie chromolitografje. Jedna z nich nakłania do podróży w „Amagas Tatraba — in die hohe Tatra“ i podaje widoki Szmeksu, jeziora Czarba itd. Na innych chromolitografowanych ogłoszeniach widzimy „Judenberg-Alpe,“ Salzkammergut, oraz różne Lofery, Nukeny, Weissbachy. Tylko nigdy i nigdzie nie widzimy Tatr i Pienin naszych. U nas jeden tylko Iwonicz, choć niema tak dalece czem się popisywać, a przecie popisuje się jakimś hotelem, jakąś altanką i zdrojem. Ale Tatr i Pienin, powtarzam niema nigdzie, boć to takie... brzydkie, że nawet rysować tego nie warto. Niema też ich w żadnem piśmie illustrowanem niemieckiem, choć przecie o to poprosić i prośbę tę „poprzeć“ można.

Ale korespondencya się przedłuża, a więc jedną jeszcze tylko dodam uwagę. Układa się statut dla zdrojowisk, — niechże w tym statucie będzie wzmianka o przyzwoitym ubiorze, niech ludziom w szlafrokach, czy one żółte, czy czarne, po spacerach zdrojowiskowych chodzić nie będzie wolno; niech dalej zakazanem będzie tym czarnym szlafrokom pluć, charkać, płukać gardła i nosy palcami ucierać. Dopóki tego zakazu nie będzie, ludzie zamożniejsi i intelligencja będą musieli omijać własne zdrojowiska, a dążyć do obcych, gdzie szlafroki jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zamieniają się na surduty i żakiety.

K. Bartoszewicz.

NB. Niech się szanowny redaktor Myśli nie zdziwi, jeżeli w jakiej korespondencyi znajdzie drobne ustępy, wyjęte żywcem z mojego listu. Czytał go bowiem pewien „przygodny“ korespondent i prosił o „literacką pożyczkę.“ Nie mogąc mu innej pożyczki udzielić, chętnie przystałem na jego żądanie.

NOWE PRĄDY FILOZOFII.

Nie i tak.

Co to jest nie a co to jest tak?

Nie i tak to przewrotowa filozofia ducha-genjusza, ducha-tytana.

Nie i tak-to dziś jeszcze do nas nie doszłe promienie wielkiego słońca, które, zajaśniawszy na horyzoncie duchowym naszego stulecia, spłonęło wprawdzie we własnym żarze, lecz dało ludzkości snopy świetlane tak potężne, iż na długie jeszcze czasy w ożywczem ich cieple kąpań się ona będzie.

Nie i tak to dwie strony filozofii Fryderyka Nietzschego, nie — strona negatywna, tak — pozytywna.

Ktokolwiek, bodaj najpobieżniej śledził rozwój ducha ludzkiego w naszym wieku, kto bodaj zdala przyglądał się biegowi myśli ludzkiej w tymże czasie, ten wie, iż filozofię poczęto uważać za naukę bez dziś i bez jutra, że lekceważono ją jako przedmiot nie mający żadnego celu, nie doprowadzający do żadnych rezultatów; wie, że ludzie prawdziwej wiedzy na wzmiankę o zagadnieniu filozoficznem odpowiadali uśmiechem litości pełnym. Nic w tem dziwnego. Średniowieczczyzna minęła. Ustały czasy, kiedyto filozofów czczono jako takich, jedynie dlatego, że zajmowali się zagadnieniami dla ogółu nieprzystępnemi; kiedyto zagadnienia owe uważano za wielkie, jedynie dlatego, że zajmowały umysł oblubieńców mądrości.

Jeśli gdzie, to w tym wypadku można zastosować przysłowie: »powodzenie czyni mistrza«. Filozofowie bowiem tak wybitnie w swych systemach wyznaczyli miejsce zagadnieniom wszechświata, stworzenia, bytu, ducha i materyi itp., tak wyraziście podkreślili dążność do rozwiązania tych zagadnień, że oczy wszystkich na nie tylko były zwrócone. Gdy jednak powodzenia zbrakło (sukces czasowy pomijam), gdy najgenialniejsi nawet filozofowie zagadnień tych nie rozwiązali a każdy następny uważał sobie za pankt honoru zbić wywody swoich poprzedników, bezzasadność i mylność ich zapatrywań wykazać i na tych gruzach swój własny zbudować system — zapomniano nawet o istotnych zasługach i zdobyczach filozofii, zaczęto ją uważać za gwiazdę zgasłą i wypaloną i zwrócono się do nowowschodzącego na widnokręgu duchowym słońca — do nauk przyrodniczych. I kiedy one niebywałym zajaśniały blaskiem, zwrócono ich życiodajne promienie na wyjałowioną glebę filozofii. Wyciągnięto znowu owe nieszczęsne zagadnienia wszechświata i przy pomocy nauk przyrodniczych starano się takowe rozwiązać. Kiedy i ta próba zawiodła — potępiono filozofię.

Nie w niej jednak leży wina, lecz w zagadnieniach owych. Nie rozwiązano ich, bo się rozwiązać nie dały i nie rozwiąże się ich, bo ich rozwięzać niepodobna.

Dziś zdawałoby się, że wszelkie na ten temat rozprawy ustaćby już powinny. Przekonawszy się, że w tym kierunku żadne pró-

by dotychczas rezultatem uwieńczone nie zostały, mając pewne dane po temu, że próby takie powieść się nie mogą — pocóż dłużej starać się, by słabą głową i słabą ręką rozbić nieprzebity mur, który horyzont naszego poznania zamyka? — jeżeli to wogóle mur i jeżeli poza nim coś istnieje. Niestety i dziś jednak są filozofowie, są uczeni, którzy nie chcą sobie zdać sprawy z bezskuteczności swej pracy, którzy bądź gorąco przejęci pragnieniem poznania, bądź też podżegani ambicyą przyszłej sławy, nadzieją nagrody za odkrycie kamienia mądrości, nieustannie wlewają wodę do beczki Danaid albo niby Iksion pod górę toczą głaz ciężki, a oczy zamykają, nie chcąc się przekonać, że ta beczka niema dna, że ten głaz na dół stoczyć się musi.

I dla nich przyjdzie czas poznania, prawdziwego poznania — przyjść musi.

Cóż nam pozostaje, jeżeli wyłączymy z zakresu naszych rozumowań i wywodów wszelką metafizykę, jeżeli — nie negując wprawdzie aprioristycznie i apodyktycznie wszelkich zagadnień metafizycznych — uznamy jednak, że są niedostępnemi dla nas, że ich rozwiązać nie możemy a tem samem ani nam wierzyć w nie ślepo ani badać je nie podobna?

Pozostaje nam życie, życie par excellence, którego urządzenie i rozwój jedynie zajmować nas winny.

Z myślicieli, którzy prawdę tę poznali i którzy hasło »życie ludziom« na sztandarze swej nauki wypisali, najgenialniejszym i najgłębszym jest: **Fryderyk Nietzsche.**

»Duch wolny« — jak sam o sobie powiada — przemawia z dzieł jego do ludzi względnie do wybranych z nich, wykazując całą bezsensowność, całą przewrotność dzisiejszej etyki i moralności i wskazując człowiekowi nowe tory rozwoju — drogę do nadczłowieka.

Zbyt szczupłe ramy niniejszego artykułu nie pozwalają mi skreślić w nim nauki Nietzschego; byłoby to równie niemożliwem, jak niemożliwem jest poznać n. p. istotę materyi. Wszystko, co o nim i przeciw niemu pisano, stanowi sporą bibliotekę. Naturalnie, że nauki Nietzschego znalazły zagorzałych przeciwników, którzy jednak nigdzie nie zbijają jego zapatrywań, choćby dlatego, że są za maluczcy, by obalić dzieło takiego ducha-tytana. Powtarza się tu to, co spotykamy przy każdym przewrocie na jakiemkolwiekbądź polu. Niezadowoleni, których słońce nowe oślepiło, biadają nad owym niszczycielem, nie mogąc się do jego światła przyzwyczaić. Jak tonący, który byle jakiej chwyta się deski, i mimo że zbliżający się okręt chce go zabrać, boi się puścić ową deskę, w myśli, że bez niej utonie, tak i oni nie mogą sobie przedstawić życia bez owej deski, bez obecnej moralności i w Nietzschem widzą umysł, nastający na zagładę moralności w ogóle, widzą krzewiciela niemoralności. Przeciwnicy ci nie pojmują naturalnie Nietzschego, boć jemu, którego hasło wyżej wymieniłem, jemu, który życie czci nadewszystko — zamiarów podobnych przypisać nie można. Nie pojmują Nietzschego, bo nie pojmują indywidualności, bo znają tylko przeciętne zdrowie filisterskie a w ślad za Lombrosem genjusza uważają za obłąkanego, bo im z tem wygodnie. Korzystają więc w danym razie niedelikatnie z tego, iż Nietzsche jest obecnie umysłowo chorym i na karb tej choroby kładą jego wywody, twierdząc że i wtedy był chorym, kiedy je wysnuwał.

Nieszlachetną tą metodą posługuje się też niejaki Dr. Herman Türk, który w wydanej niedawno broszurze: »Fryderyk Nietzsche i jego filozoficzne bezdroża« nader powierzchownie nauki Nietzschego traktuje, przedstawiając je jako dzieło człowieka umysłowo chorego, którego zwierzęce przewrotne popędy wskutek niezwykłego, nazbyt wykwintnego wychowania, jakie odebrał, nie w czynach — ale w książkach się objawiają. Posługuje się Türk frazesami psychologicznemi, twierdząc, jakoby stan duchowy Nietzschego nosił piętno obłędu moralnego — moral-insanity. Nie potrzebuję nadmienić, że autor nie zadaje sobie bynajmniej trudu w celu wykazania błędności poglądów Nietzschego. Przyzna każdy, że taki sposób polemizowania nie jest żadną polemiką. Można się nie zgadzać na czyjeś nauki, a jeśli się takowe za bezdroża uważa, należy to uzasadnić rzeczowo, logicznie, wykazując ich błędność i logiczność a nie szukając wrzekomych przyczyn przewrotności tych nauk w późniejszej chorobie umysłowej autora. Gruntowną też odprawę dał Türkowi Dr. Maks Zerbst w broszurce zatytułowanej: »Tak i nie«[1]).

Broszura ta dzieli się na dwie części; w pierwszej Zerbst udowadnia Türkowi, że tenże nie czytał nawet dzieł Nietzschego a nadto zbija jego zapatrywania o wrzekomych naukach Nietzschego cytatami z samego Nietzschego. W drugiej części znów cytatami wykazuje przewodnie myśli nauki Nietzschego, które tu poniżej przedstawię. Szczególnie za podjęcie się tej ostatniej pracy należy się Zerbstowi uznanie. Nietzsche bowiem tak ostro, tak bezwzględnie, tak surowo i tak zwycięsko wystąpił przeciw obecnej moralności trzodowej, tak wszelkie obecne wartości moralne i wartościowania zmiażdżył i zniszczył, że na pozytywną część jego filozofii mało dotychczas zwracano uwagi.

Według Nietzschego pierwszą rzeczowością życiową jest człowiek »indywiduum, które powstaje, rozwija się, kwitnie i zanika.« Dlatego Nietzsche mówi tak do wszystkiego, co się przyczynia do podniesienia i rozwoju typu ludzkiego, czyli do wszystkiego, co życiu sprzyja, mówi zaś nie do wszystkiego, co krępuje kształcenie i rozwój jednostki silnej a wolnej. Nietzsche ubóstwia indywidualność, wierzy niezbicie w niewyczerpaność, w bezmiarowe bogactwo, w nieskończoną zdolność ewolucyjną natury ludzkiej. Ona jest mu najwyższym skarbem, z którym się ludzie nieumiejętnie obchodzą, dążąc w ślepocie swojej do najzupełniejszego zrównania wszystkich ludzi. Jeżeli więc pierwsza jego zasada brzmi: »Człowiek jest pierwszą życiową rzeczowością«, to druga jego zasada mówi: »Między człowiekiem a człowiekiem istnieje największa różnica«. Dążność więc nowoczesna do jednej moralności jest krzywdą, wyrządzoną wyższemu człowiekowi; jeśli jest różnica między człowiekiem a człowiekiem — musi być różnica między moralnością a moralnością. Inne i wyższe ma prawa i obowiązki człowiek wyższy, silniejszy a inne niższy i słabszy. Tylko taka odmienność może prowadzić do rozwoju typu »człowiek«, nie poprowadzą zaś doń marzenia o równości i uspołecznieniu wszystkich, marzenia filozofów tak różnych jak: Tołstoj, Fourier i Spencer. Ludzie nie są równymi a zeszablonizować i sztucznie, przymusowo chcieć się zrównać — znaczy wstrzymać a nawet cofnąć się w ich rozwoju. Dążność do osławionej równości jest zabójczą dla życia, bo życie w istocie swej jest »przywłaszczeniem, kaleczeniem, zwyciężaniem pierwiastków obcych i słabych, gnębieniem, surowością, gwałtownem wtłaczaniem we formy własne, wcieleniem w siebie a co najmniej — wyzyskiem (rozumie się nie w znaczeniu potocznem). A chcieć życia bez tego — znaczy oczekiwać życia bez funkcyj, bo owe wszystkie przymioty życia nie wypływają z zepsucia społeczeństwa, ale tkwią w istocie życia, którego funkcyą najgłówniejszą jest dążność do władzy, do panowania, słowem — do życia. »Przypuściwszy, że pogląd powyższy jako teorya jest inowacyą — w rzeczywistości jest on prafaktem historycznym. O tyle przynajmniej należy być uczciwym wobec samego siebie«.

Cały dotychczasowy swój rozwój człowiek zawdzięcza jedynie społeczeństwom arystokratycznym, które to społeczeństwa stale wierzą w liczne szczeble stanowisk społecznych i w różnicę wartości między człowiekiem a człowiekiem. Tak też i nadal będzie. »Bez owego patosu odległości, który jest wynikiem odwiecznej różnicy stanów, ciągłej, wyniosłej pogardy kast panujących dla poddanych i narzędzi i równie ciągłego ich ćwiczenia się w słuchaniu i wydawaniu rozkazów, poniżaniu i trzymaniu niższych zdala: — bez patosu tego nie mógłby powstać ów inny patos, patos więcej tajemniczy, owa żądza rozszerzenia przestrzeni nawewnątrz duszy; wytwarzanie coraz wyższych, rzadszych, dalszych, szerzej rozpiętych, obszerniejszych stanów, słowem: wzniesienie typu »człowiek«, dalszy ciąg »samoprzezwyciężania się« człowieka, — by użyć formułki moralnej w znaczeniu nadmoralnem«.

Zaznacza przytem Nietzsche, że ma na myśli arystokracyę nie taką, która się uważa za funkcyę monarchiczną albo społeczną, lecz taką, która widzi w sobie najwyższą myśl społeczności.

Dr. Garfein.

(D. c. n.)

NA POPASIE.

(Obrazek).

(Dokończenie).

Podłe to znać było plemię, podrzutek jakiś; toż nawet po ludzku jęknąć nie umiało. Można ją było bić, i ciężarem obciążać, i pracą przywalać — milczała; co najwyżej płakała cicho. Czasem żałość mię nad nią chwytała; popieszczę ją, bywało, przygarnę, włoski jej rozczeszę, i już jak słonko cała się rozjaśni i szczebiotać pocznie, a nawet i pośpiewywać tak pieszczonym głosikiem, że jak miód po sercu ci spływa. Dziatwa moja kochała ją jak siostrzyczkę. Ej, nie zawsze źle działo jej się u mnie. A toć i przyodziewek miała, no, i głodną nie była — aż wtedy, w ów nasz sąd ostateczny...

Przez dwa dni nic nie jadła — widziałam ją dobrze; całuśkie dwa dni! Czy to taka siedmiolatka wytrzymaćby mogła? Szatan jej pomagał. Nie jadła i nie chodziła już, a tylko uspokajała cieniuśkim głosikiem moją kwilącą Julunię. Trzeciego dnia, pod wieczór, kopię raz jeszcze grządkę pod ścianą, czy też ziemniaczek jaki w niej nie został — jeden, nędzny ziemniaczek, co zbawiłby moje dzieci jak Chrystus w opłatku — bo w chałupie nic już nie było, prócz małej szczypty kaszy, com

[1]) Dr. Max Zerbst, Ja u. nein. Antwort auf Dr. Hermann Türck's Broschüre »Friedrich Nietsche u. seine philosophischen Irrwege (Verlag von C. G. Naumann, Leipzig. Preis 1 Mark).

ją przed tygodniem warzyła i codzień potrochu dawała memu pisklątku w kołysce. Te krupy trzymały ją przy życiu, bez nich nie byłoby mojej Julki — bez tych paru krupek nadgniłej kaszy. Kopię sobie tedy w ogródku i raz w raz zaglądnę w okienko, co też tam robią te dwa maleństwa: to w kolebeczce i tamta sierotka, co dla słabości nóg zdźwignąć się już nie mogła. Starsze wywędrowały gdzieś były za żerem, do lasu — na łąki — albo ja wiem?... Wydał się mnie szelest jakiś; spojrzę w okienko — Boże wielki! aż mi skóra ścierpła na plecach...

Pośrodku izby pełznie na rączynach, nogami powłócząc, owa znajda, podrzutek. Strach mię ogarnął jakiś, czułam, jak włosy chustkę mnie podjęły na głowie. Patrzam bez tchu... a ona pełznie, pełznie, przypełzała do kąta — Boże! toż sięga do kubełka, gdzie był ów skarb mój, życie mego dziecka, kruszynki owe!..

Nie pamiętam, kędy wleciałam do izby — drzwiami, czy oknem — jak wicher. Szłam ku niej, a ona patrzy się na mnie i ani probuje uciekać; ustka jej drżą tylko i dwie łzy wiszą na rzęsach. „Oddaj! wołam, bom już zdaleka spostrzegła, że w rączku zaciśniętego coś trzyma. Lecz ona, zdaje się, nie pojmie; patrzy się tylko, i uszka jej drżą, a na rzęsach dwie łzy wiszą...

Czy ja wiem, co ze mną się stało? Czy złość to była, czy żałość dla moich dzieci? Czy może wilczycą byłam — tą, której szczenięta biorą — Bóg sam niech to roztrząsa...

Jedna chwila — i po wszystkiem!... Chrupnęło coś pod palcami... Czarne oczka — te ze łzami — stały się czerwone i na wierzch wyszły... A patrzały się na mnie — nawet wtedy! chyba coś mówiły — coś żałośnego... O — och!...

Dolej mnie! słyszysz panie? Takiś biały i kto wie, co masz na myśli... Może masz wstręt do mnie? może się mnie boisz?... Czego? czego? Widzisz, jak mi drżą ręce? słabe są... Wtedy tom była wilczycą — zębamibym zagryzła. Wtedy — dzieci mnie z głodu marły, dzieci — rozumiesz?... I ta Julunia wciąż kwili i kwili: mamo, mamo!...

* * *

Nie wiem, dzień to był, czy noc, chwila, czy wiek cały — jak w piekle czasu nie pamiętałam.

Główinka, jak u zarzniętego kurczęcia na ramię zwisła. Zwolniłam palce — przegięła się, jak źdźbełko żyta przełamane i na podłogę zsunęła. Podnosłam rączkę, z tą szmatką w garści zaciśniętą — konając nie otwarła! Paluszki skrzepły, ani otworzyć — a tam, w tej piąstce, w tym szkielecie — tam życie mego dziecka!... Przypadłam obok trupka na ziemię, schyliłam się — i palce już stygnące, zębami otwierać poczęłam...

Och — wódki! Jeszcze — jeszcze!

Widziałeś, panie, ten dołek na mogiłkach? Trawą to zarosłe i chwasty się czepiają — ale ja poznam — o, poznam! Choćby nie wstała na sąd ostateczny, to przyjdę i powiem aniołom: tum ją zaryła!...

Widziałeś, panie, mą Julkę? Śliczna dziewczyna, co? Jak pszczołom od miodu, chłopakom się ogania. Gdy idzie, to aż wiosną od niej pachnie. Te usta śmiechów pełne, te oczy, z których samo życie tryska — wiesz teraz skąd to, i co je zbawiło!

Cicho!... com powiedziała? Panie, nie wierz temu! Ja kłamię, jak pies kłamię... O, przeklęta wodo, zdradziecka wodo! ona mi paląc wnętrzności, ze dna wszystko podnosi...

Na Boga, złoty panie, jasny panie, nie mów nic Julce! Toż jej robak żaden, ćma żadna nie powiedziała — nikt nie powiedział — nikt o tem nie wie — sam Bóg może zapomniał — a ja tylko pamiętam!...

Daj jeszcze! kilka kropel, jednę kroplę! mój jasny... Ha, nie chcesz?... nie chcesz!... Więc ja ci powiem... O, nie ucieczesz, nie umkniesz — nie puszczę! Musisz mnie słuchać... Więc ja ci powiem...

Ty może myślisz, że tę sierotkę, to kurcze, ginące z głodu, ja dobiłam, ja? Przenigdy! — Tyś ją zabił, ty, jasny!... Twe ręce białe szyję jej ścisnęły, twe suknie drogie całunem na nią padły... Ty, ty!

Tyś jadł w złoconych pokojach, a matce dzieci z głodu marły — tyś w puchu ciało swe kołysał, a one jak szczenięta na słomie skomliły — tyś złoto rzucał, aby ci tańczyło, jak zechcesz, tyś nie chleb, boś go miał zadużo, a dym cygara kupował — tyś się śmiał i bawił, tyś płacił za pieszczoty rozpuśne, za wino, za psy, za jedwab twoich koszul, za połysk twoich włosów — a matce dzieci marły z głodu — tu, u twego boku, w twojej wiosce, pod twojem niebem, na twojej ziemi... Nie jam zabiła, o nie! — a ty, a wy!...

Stój jeszcze!... Te oczy, co patrzą na mnie i w dzień, i w nocy, z pod słońca, z pod mroku — te oczy z dwiema łzami na rzęsach, sieroce, znękane oczy — myślisz, jej są? Daj ucho, powiem ci... To oczy twego ludu, — tej sieroty, co ją dławisz za gardło!... Słyszałeś? ty, jasny?... A, zbladłeś!...

Widzisz, jak tam z kąta — ot, z za szynkwasu, z za tego żyda — patrzą, te wielkie — te czarne — krwią nabiegają — widzisz? dwie łzy na rzęsach... Na ciebie tak patrzą — teraz wiesz, są czyje.

Daj jeszcze! kroplę, ostatnią kroplę! mój jasny...

O, Julko, kwiatku mój różany! kwitnij, moje ziółko, trzepocz się mój gołąbku, tyś czysta... Nie słuchaj, co baje stara matka, pijane matka — tyś niewinna... Och, jak te oczy patrzą z kąta! Idą ku mnie — czarne, krwią nabiegłe — dwie łzy wiszą na rzęsach... Idźcie, idźcie odemnie — ktoś inny wasz zabójca! jemu krew wypijajcie, jemu patrzajcie tak ciągle — w dzień, w noc, — z pod słońca, z pod mroku... och!... wy, oczy!! . . . .

* * *

— Szynkarzu, prędzejno! ta babina slania się i pada! Ludzie, pomóżcie, na Boga! Czyż można dać siwej głowie ziemię karczemną zamiatać... Ostrożnie! Zawiedźcie ją do chaty! — A niech ją Julka teraz nie zobaczy...

Ty, chłopcze, zaprzęgaj! konie wypoczęły — ruszajmy dalej!...

W. Dal.

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna.)

VIII.

(Nowe gwałty pod moskiewskim zaborem. — Cholera. — Katastrofa w St. Gervaise. — Wybory w Anglii. — Sprawa posła Spincica. — Jubileusz „Katolika").

Z początkiem bieżącego roku zdawać się na pozór mogło, że carat pohamował się nieco w swych rusyfikatorskich zapędach. Było to niestety złudzeniem, gdyż rząd moskiewski z dniem każdym zacietrzewia się w strasznych pomysłach prześladowania i gnębienia Polaków. Rzecz to doprawdy niesłychana, aby państwo, wczasie pokoju, własnych poddanych — bo za takich uważać się każe Polakom — pozbawiało chleba i dachu nad głową. Wieści, które nas obecnie dochodzą z Królestwa, są tak okropne, że mogłyby Kenanowi posłużyć do najjaskrawszej ilustracyi polityki carskiej względem Polaków.

Ze wszystkich posad na kolei warszawsko-wiedeńskiej usunięto Polaków w przeciągu dni paru, chociaż to kolej prywatna w rękach Francuzów i Belgijczyków zostająca; na kolei: terespolskiej i nadwiślańskiej dzieje się podobnie, a nawet młodzi lekarze, prawnicy i technicy z góry mają zapowiedziane, że posad w Królestwie nie dostaną, chyba w głębi Rosyi, że już zamilczymy o całym szeregu prześladowań, jakich ofiarami padają nauczyciele i księża — rząd w swym zapale moskwiczenia gnębi bezbronnych, więcej, bo tak niemiłosiernie pastwi się nad nimi, że przypuszczać ztąd można o zupełnym zaniku pojęć etycznych wśród szerokich natur.

Europa patrzy na te gwałty, będące hańbą naszego stulecia z niemem oburzeniem i cichą pogardą — ratunku jednak znikąd nie widać, bo drukowane platoniczne protesty nie wzruszają Moskali. Rugowanie Polaków z kolei nastąpiło wskutek raportu podpułkownika Ebiełowa, który doniósł ministrowi Wannowskiemu, że póty ręczyć nie może za całość militarną państwa, póki Polacy będą piastowali jakiekolwiek urzędy kolejowe. Taki podpułkownik, który w ucywilizowanem państwie nie byłby cierpiany w randze kaprala, decyduje o losie tysięcy ludzi. Inne kreatury jak Jankulio i Apuchtin decydują znowu o losach jęczącej w okowach prasy i szkoły.

Za prześladowania te mści się już sama natura. Dopiero co straszny głód zdziesiątkował rzesze kacapskie, a już wślad za nim azyatycka cholera wstępować zaczyna, szerząc spustoszenie w krajach knuta i łez. Począwszy od Saratowa w dół ku Wołdze panuje epidemia, znacząc swe ślady beznadziejną rozpaczą, strachem i mogiłami. Epidemia objawia się już sporadycznie i w innych krajach, podobno we Francyi, dlatego też wszystkie rządy wydały zawczasu surowe zarządzenia zapobiegawcze a na granicy rosyjskiej ustanowiono kwarantanny.

* * *

Innego rodzaju katastrofą, bo w rozmiarach swych przypominającą Przybram, nawiedzoną została w ostatnich dniach południowa Francya. W departamencie wyższej Sabaudyi wpadły olbrzymie masy lodu do potoku górskiego, skutkiem oberwania się lodowca na zachodnim stoku Montblanc. Rzeka porwała za sobą całe góry lodu, które zwaliły się na zakłady kąpielowe w St. Gervaise. Z pięciu domów kąpielowych trzy zostały zgruchotane zupełnie, dwa zaś grożą zawaleniem. W czasie katastrofy poniosło śmierć blisko 100 osób. W liczbie ofiar jest wiele osób: z Paryża, Lugdunu i Genewy. Jest obawa, że miejscowości Le Fayet, Vernet, Le Praz położone głębiej w dolinie również uległy zniszczeniu.

* * *

Duże zainteresowanie budzą w obecnym, ogórkowym sezonie wybory do parlamentu angielskiego. Walka rozgrywa się tam między dwoma stronnictwami: Salisburego i Gladstonea. Ten ostatni zwyciężył, stronnictwo jego do dziś już liczy większość czterdziestu blisko mandatów. Jeżeli i w hrabstwach, gdzie wybory się w tym tygodniu odbywają, zwycięży stary przywódca Wighów — to zdobędzie taką w parlamencie większość, za pomocą której przeprowadzi swój program samorządu Irlandyi. Przy tej sposobności warto zrobić małe porównanie między austryackim a angielskim parlamentem. Podczas gdy ostatni jest ideałem ustroju konstytucyjnego, w naszym dzieje się trochę inaczej. Dowodem głośna sprawa kroackiego posła Spincica, którego usunięto z posady profesorskiej za agitacyę. Sprawa ta wzięła jednak pomyślny obrót, gdyż komisya dla nietykalności poselskiej Rady państwa załatwi ją niewątpliwie w duchu konstytucyjnym.

* * *

W Bytomiu, na Śląsku pruskim, odbył się w ubiegłym tygodniu dwudziestopięcioletni jubileusz pisma, które dzielnie broniło polskości na kresach w ciągu ćwierćwiecza, walcząc z germanizacyjnemi zapędami rządu pruskiego. „Katolik“ ciężkie przechodził koleje, ale nie zrażał się nigdy przeciwnościami, dążąc wytrwale do wytkniętego i jasno zakreślonego celu. W tem też jego zasługa. Pierwszym redaktorem tego pisma był: Józef Chociszewski, dzisiaj jest ono własnością p. Ludwiki Radziejowskiej, która, chcąc uświetnić jubileuszową chwilę, ofiarowała 10.000 marek na fundusz zakładowy dla polskich stowarzyszeń.

Z. P-vi.

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

Dziś po raz pierwszy spędzam noc w pośród powierzonych mej opiece. Oprócz „spadającej gwiazdy“ nie znam dotąd żadnej z nich. Sądząc z ilości cel jest ich dwadzieścia pięć do trzydziestu. Już blisko trzy godziny jestem wśród nich, a dotychczas nikt się nie odezwał, nikt nie klął i nie wymyślał, nikt nie kłócił się i nie rzucał — wszędzie cicho jak w szpitalu, gdzie leżą ciężko chorzy, cierpiący z poddaniem się, z rezygnacyą i bez głoszenia tej największej boleści. Widocznie jestto jeden z najcichszych i najspokojniejszych oddziałów. Nawet sam nie spostrzegłem, że siedzę przy stole z głową na ręce wspartą.

Straszną ciemność korytarza łagodzą jasne linje na drzwiach i wąziutkie prążki na podłodze, wciągające się aż na przeciwległą ścianę. W celach jasno jeszcze, a światło przechodzi przez szpary we drzwiach. Kto tam wegetuje na tych łóżkach? ile się ich przewraca z boku na bok w bezsennych nocach, a ile takich, co patrzy tępym i bezmyślnym wzrokiem gdzieś w kąt w smutnem a na wpół iojotycznem zadumaniu? Jak długie, przewlekłe i nieskończone są te godziny nocne, gdy sen unosi się nad ich powiekami jak ważka nad powierzchnią wody. Myśli ich ciężkie jak kamienie a niewyczerpane jak górskie potoki, są niezmierną męczarnią. Ci ludzie mocno cierpią, lecz rzadko kiedy uronią łzę — ich oko, suche, martwe, o szklannym połysku, zwierciadło boleści i cierpienia. Oczy ich to wygasłe wulkany, z masami zakrzepłej lawy u stóp.

Nagle zdaje mi się, jakoby pusty i ciemny korytarz ożywił się. Jasne i silne światło rozlało się po całej przestrzeni lokalu. Ściany przepysznie i pięknie wytapetowane, ze stropu, niebieskiego jak bławatek a przetkanego wielkiemi srebrnemi gwiazdami, kołyszą się smukłe, grubo pozłacane i promieniejące światłem żyrandole, wzdłuż ścian stoją długie, szare kanapki, miękkie i do spoczynku wabiące, cenne obrazy w masywnych, głębokich ramach, imponujące artystyczną techniką i nęcące mistrzowskim kolorytem, w rogach błyszczą zwierciadła, między oknami uśmiechają się soczystą i świeżą zielenią kosze kwiatów, otaczających białe posążki, a na dwóch okrągłych stołach o artystycznie rzeźbionych brzegach leżą książki i pisma ilustrowane. Drzwi jednej z komnat sąsiednich otworzyły się i weszła kobieta może czterdziestoletnia. Usiadła przy stole z książkami a subtelna woń fiołków rozeszła się po całym salonie, jakby wniesiono wielki bukiet tych kwiatów. Jestto poważna imponująca postać, w której na pierwszy rzut oka poznasz matkę. Smagłe oblicze w porównaniu z dobrze zakonserwowanym biustem nieco za ostre, powstrzymuje niknącą krasę i usuwa zmarszczki spokojem oraz wielką godnością. Duże, jasne oczy nieokreślonej barwy, trochę szarawe trochę zielonawe, nie patrzą w książkę lecz przed siebie, wilgotnieją a widz każdej chwili czeka, ba nawet obawia się, że wytrysną z nich łzy. Nagle załamuje ręce i woła: „Moje dzieci, moje drogie dzieci, kto was pielęgnuje, kto się o was troszczy!?...

Prawie na końcu salonu zjawiła się smukła dziewczyna w załobnym stroju. Wolnym krokiem zbliża się do koszów kwiatowych, ujmuje swą delikatniutką rączką kwiat, urywa listek za listkiem i ledwie dosłyszalnie szepcze: kocha? niekocha? kocha?...

„Kocha“, zawołała radośnie, pobiegła jak łania do stołu i zaczęła pisać ognisty list do lubego. Pisała długo — zbliżam się wolno po kobiercach, staję za nią, patrzę przez ramię i czytam:

Mój, mój drogi, nieoceniony!

„Wczoraj wieczorem doczekałam się nareszcie listu, na który czekałam tak gorąco i chciwie. Ojciec nie ma nic przeciwko naszemu małżeństwu, będziemy należeć do siebie — na zawsze — na wieki — kocham Cię — ach tęsknię za Tobą — Ty nie przychodzisz... szkoda tej miłości, że tak nietrwała... a głowa mnie boli — hu, hu, toż dopiero zimno... lalala... smutno...

Co ja widzę? nachylam głowę niżej, list postępuje, ale niknie, ginie w niezrozumiałych znaczkach i wykrzyknikach, i kończy się nareszcie w ten sposób:

? ? ? . . . .

— . — . —

— — — —

. . . .

— — — — — — — — — —

List więc skończony — lecz co w nim chce to dziecko wyrazić? Zaczyna ładnie, subtelny przebłysk rozumu przebiegł przez jej głowę, pisze całkiem rozumnie, lecz nagle szaleństwo wpada kroplą jadu do kryształowego puharu rozsądnych myśli, które znikają, a pióro jej ręką prowadzone, przedstawia graficznie wyżej przytoczony ustęp. Nachylam głowę jeszcze niżej, czuję jak przedelikatne jej włosy mile dotykają twarzy mojej, wciągam ich upajającą woń, gdy w tem owijają się koło mej szyji dwie jak aksamit miękkie rączki, delikatne usteczka całują mnie w czoło, twarz, oczy, usta a wzruszony głos wola: właśnie marzyłam o tobie — przyszedłeś — patrz, ja marzyłam o tobie. Przy tem ukazuje faliste linie na papierze i mówi z nieskończenie miłym uśmiechem: „oto moje marzenie...“

W tem obudziłem się. Patrzę na zegarek — za pięć minut dziewiąta. Drzemałem, właściwie spałem koło trzydziestu minut. „Gdzież ja jestem? Rozglądam się ze zdziwieniem w koło siebie. Wszędzie ćma, gołe zabrudzone i zamazane ściany, długie, nielakierowane i niemyte ławki, wzdłuż nich rozrzucone stołki bez poręczy — ha — wstrząsnąłem się z zimna — oh tak, już bowiem, gdzie jestem.“ Przecieram sobie oczy, wstaję i usprawiedliwiam się sam przed sobą: „Nie dziw, że zasnąłem. Długa jazda, niezwykle wrażenia, próżny żołądek.“ Trzy złote pręgi z podlogi i z drzwi zniknęły. Zamykam okno i już biorę za klamkę u drzwi swego pokoju, gdy naraz uderza o mój słuch jakiś głos, jednostajnie brzmiący, jakby się kto głośno modlił lub czytał. Słucham chwilę a mimo niewyraźności głosu tyle przecież dosłyszałem, że to nie jest modlitwa. Ktoś więc czyta głośno, chora to nie jest na pewne, gdyż dozorczyni przeszkodziłaby temu polecając czekać do rana. Nie może to więc być nikt inny, tylko sama dozorczyni.

Idę za głosem, aż doszedłem do ostatnich drzwi, gdzie paliła się lampa. Głos lektorki jest jasny, czysty i dość przenikliwy, ale recytacja nieznośnie jednostajna, śpiewana i nużąca, pozbawiona interpunkcyi ciągłością.

Słucham przez chwilę — nagle wytężam słuch. Do uszu mych dochodzi całkiem wyraźnie taki ustęp.

„Przecież raz wpadła mysz do pułapki!“, mówił do przeoryszy. I nie zwlekając ani chwili, zaczął czytać list na głos... Po czwartym wierszu zbladł; w połowie zamarł mu głos w gardle, i dalej czytał tylko oczami.“

„W liście tym przedstawiłam go najpiękniejszemi barwami. Mówiłam tu o nim, że jest chłop bezwstydny, opoj, zwodziciel i okrutnik; przytoczyłam tu między innemi rzeczami i prawdziwy fakt, że bywa zwłaszcza po jadle zawsze pijany, i że sobie już to jedną, jużto drugą z młodych...“

Słyszałem już dosyć.

Otworzyłem gwałtownie drzwi na oścież.

Koło małego, przy piecu stojącego stołu siedzi pięć lub sześć kobiet w nocnych kostjumach. Są to wszystko młodsze kobiety. Dwie robią pończochy, inne przysłuchują się z zajęciem. Sądząc z wejrzenia bawią się ogromnie zajmującą i podniecającą lekturą. Oczy zawisły, że tak powiem, na ustach czytającej a oblicza płoną niecierpliwością, i chciwością dalszego ciągu. Na stole stoi prosta lampa, zasłonięta zielonym ciennikiem ze znaczącym napisem: „Panie zostań z nami, gdyż się spóźnia.“ Na szerokiej, skórzanej, wygodnej kanapce siedzi z książką w ręce dozorczyni — z żywemi i namiętnemi oczami. Sama płonie na twarzy i pali się — a oczy błyszczą jak u kota. Moje nagłe i niespodziewane przyjście przeraziło wszystkie.

„Dobry wieczór,“ pozdrawiam raczej z przyzwyczajenia niż z grzeczności.

Nikt na moje powitanie nawet słowa nie bąknął.

Dozorczyni wstała z kanapki blada jak chusta.

„Czem się zabawiacie?“ mówię nadzwyczaj spokojnie i podnoszę książkę. Obracam pierwszą kartkę i widzę ze zdziwieniem klasyczny tytuł:

Tajemnice klasztorów neapolitańskich,

opowiada

EURICHETTA CARACCIOLO,

principessa di Forino,

była zakonnica reguły Benedyktynek.

Z włoskiego przełożył

Wacław Bambas.

„Hm — hm — według wszelkiego prawdopodobieństwa uwagi godna książka,“ pomyślałem sobie i włożyłem książkę do kieszeni.

„Już późno na czytanie, idźcie spać,“ rzekłem do chorych, które jakoś nie śmiało wstawały ze stołków. „Książkę zabiorę ze sobą,“ dodaję, gotując się do odejścia.

Tymczasem owem intermezzem a raczej nastałą ciszą obudzona, wstała jedna z obłąkanych. Przystąpiła do stołu i patrzyła na mnie wytrzeszczonemi oczami. Przyjrzawszy się jej, zauważyłem obłąkaną dziewczynę w wieku szesnastu lub siedmnastu lat. Stała w samej koszulinie jak trzyletnie dziecko. Niektóre dziewczęta w zakładach dla obłąkanych podobne są do kwiatów bez woni. Nie mają, a raczej nie znają wstydu.

Dziewczyna pochyliła się nad lampą i całkiem bezbarwnym głosem z trudnością sylabizowała napis:

„Panie — zostań z nami — gdyż się — już — spóźnią.“

Odszedłem, nie powiedziawszy już ani słowa więcej. Przeczytałem z książki tylko trzydzieści do czterdziestu stron, lecz te mi zupełnie wystarczyły, abym ją odrzucił.

Rozdział „Szalony“ zacząłem czytać z pewnem zajęciem. Jeżeli rację ma czcigodna siostra Eurichetta Caracciolo, mówiąc „że zupełne pozbawienie wolności, jednostajność sposobu życia, nieprzerwana niczem tożsamość wrażeń, próżność i błahość codziennych zabaw i nad wszelką miarę ograniczone wychowanie większości zakonnic, które oddawane bywają do klasztoru od samego dzieciństwa, sprawiają, że trzecia ich część dostaje pomięszania zmysłów lub cierpi na stałe zawroty głowy,“ to wstępne słowa przedmowy, w której wyjaśnia, że celem jej pamiętnika jest wykazać na podstawie rzeczywistych zdarzeń, jak pożyteczny i słuszny jest zamiar zamknięcia wszystkich włoskich klasztorów, byłyby istotnie godne uwagi. Lecz ja długo się nad tem nie zastanawiałem. — W przeciągu może godziny usnąłem twardo. Pamiętam, że miałem tej nocy obrzydliwe, sprosne sny...

* * *

(D. c. n.).

TUŁACZE NIEBIOS.

Pogadanka naukowa

przez Maryę Taidę Parvi.

(Dokończenie).

IV.

Fizyczne właściwości komet.

Komety, jak to już poprzednio wykazaliśmy, są ciałami niebieskimi, złożonemi z nadzwyczajnie lekkich materyj; jedynie jądro ich może być stałem lub złożonem z luźnych, stałych drobin. Pod względem chemicznym przeważa w nich węgiel (w stanie połączeń gazowych).

Wśród przestworów wszechświata — zdala od słońca i jego atrakcyi — komety mają kształt zwykłych sferóid.

Dopiero wchodząc w regiony słoneczne i ulegając siłom tejże gwiazdy [7]), przekształcają się w zwykle obserwowane komety ogoniaste. Ich najgęstsze i najstalsze cząstki, jako najbardziej ciążące ku słońcu, zwracają się też ku niemu i tworzą jądro — bardziej lotne i lżejsze, a zatem mniej wrażliwe na atrakcyę słoneczną i mniej chyże w biegu, pozostają w tyle tak — iż, wydłużając się poza jądrem, tworzą około niego włosy a poza niem długi ogon świetlny.

Co do ciężaru komet w ogólności zauważyć należy, że jest on prawie żaden — a stwierdza to ta okoliczność, iż przejście ich w bezpośredniem pobliżu planet nie wywiera żadnego zgoła wpływu na ruch tychże. Zdarzało się nawet, że ziemia przechodziła przez ogon komety (jak to miało miejsce 30 czerwca 1861 r.) a przecież nie objawiło się to niczem innem, tylko lekką zorzą północną!

O gęstości komet również da się tylko tyle powiedzieć, że jest ona prawie żadną. Nie licząc się nawet z ogonami, które są najzupełniej przezroczyste, mamy komety, przez których jądro widziano gwiazdy i to 5-tej, 6-tej, 8-mej a nawet 10-tej wielkości!

Od czasu przez Araga czynionych doświadczeń nad polaryzacyą komety z r. 1819, wiemy, że te ciała niebieskie świecą po części światłem słonecznem, odbijanem od ich powierzchni — częścią własnem światłem, jakie posiada każda pierwotna materya kosmiczna. Analizą spektralna wykazała w nich przedewszystkiem: palący się węgiel i różne tegoż połączenia!

V.

Gwiazdy spadające.

Niema zapewne człowieka, któryby w życiu swem nie widział, choćby raz jeden tylko, gwiazdy spadającej. Jest to bowiem zjawisko tak powszednie, że niemal codziennie powtarza się ono — a przecież wielu przywiązuje doń wierzenie zupełnie niewłaściwe i błędne.

Lud nieoświecony utrzymuje, że każda spadająca gwiazda jest duszą umierającego człowieka — poetyczne umysły mniej lub więcej ukształconych marzycieli upatrują w nich światy, gasnące wśród obszarów nieskończoności i t. p. chociaż astronomia wyjaśniła już dawno naturę, pochodzenie i właściwości tych zjawisk przyrody i wykazała, że nie są one niczem innem, jak tylko okruchami jakiegoś ciała niebieskiego, zniszczonego rozbiciem, a które to okruchy, obiegając słońce, dostają się w sferę atrakcyi naszego globu, i, przerzynając atmosferę z szybkością nadzwyczajną, wskutek tarcia o nią, rozgrzewają się, rozżarzają, zapalają — i — bądź w parę zmienione — rozpraszają się w powietrzu i nikną — bądź też, jako rozpalone bryły mineralne, spadają na powierzchnię ziemi. Pierwsze z tych zjawisk stanowią t. zw. bolidy — drugie, aezolity.

Dwa są peryody w roku, kiedy najlepiej można obserwować gwiazdy spadające, a mianowicie: około 10 sierpnia i 14 listopada, wtedy bowiem ukazuje się ich najwięcej na niebie, a nawet 14 listopada spadek gwiazd bywa tak znaczny, że nazywają go czasami: deszczem ognistym. Lecz obfitość gwiazd spadających nie każdego roku jest jednakową. Zjawisko to ma swój peryod maxymalności co 33 lat, poczem, przez kilka lat natężenie jest coraz słabszem, aż dochodzi do minimum po to, aby znów, wzmagając się, dosięgnąć drugiego maximum. Podczas samegoż spadku najobficiej pokazują się te gwiazdy między godziną 3 a 6 nad ranem. Liczba ich jest ogromną; sławny amerykański geometra Newcomb obliczył, że rocznie spada ich na ziemię około 146 miliardów! Inny uczony astronom włoski Schiaparelli, dowiódł, że orbita tych pyłków ciał niebieskich odpowiada w zupełności drodze obiegu niektórych komet; stąd wysnuto przypuszczenie, że jak komety tak i gwiazdy spadające muszą być zbiorem masy mgławicznej, nie należącej do naszego systemu planetarnego. Różnica między naturą komet a tych zjawisk, znanych pod nazwą gwiazd spadających, polega głównie na tem, że komety są przeważnie gazowe, gdy gwiazdy spadające są ciałami stałemi. Dowodzi to chyba tego tylko, że: komety a gwiazdy spadające nie znaczą jedno i to samo — lecz nie obala bynajmniej pierwotnie podanego twierdzenia, że oba te zjawiska należą do tej samej kategoryi ciał, nie wchodzących pierwotnie w skład systemu naszego słońca. Wreszcie i ta okoliczność potwierdza jeszcze to przypuszczenie, że analiza spektralna stwierdziła tożsamość chemicznych składników na kometach i meteorach. W jednych i drugich przeważa węgiel i pewnego rodzaju gaz,. na na ziemi nieznany.

Spadek meteorów na ziemię nie jest bez znaczenia — albowiem, nieznacznie wprawdzie, ale ciągle — zwiększa objętość, masę i wagę naszej planety.

Oprócz zwyczajnych gwiazd spadających, które nagle pojawiają się na horyzoncie przebiegają jego części i znikają (przez ulotnienie w powietrzu) dają się też spostrzegać czasami t. zw. bolidy. Są to wielkie odłamy mineralne, rozpalone i ogniste, ciągnące za sobą długą, świetlną smugę w powietrzu, przez które przebiegają — i najczęściej niknące tuż nad powierzchnią ziemi z ogromnym hukiem ciała wybuchowego. Czasami zaś spadają one na ziemię i przedstawiają się wtedy jako mniej i więcej drobne „z nieba spadłe“ — jak powszechnie mówią — kamienie, przyczem noszą nazwę aerolitów. Wielkość ich i ciężar bywa nieraz bardzo znaczny (od 100 *kg* do 15000 i więcej) [8]) a składowe ich części pod względem chemicznym rozliczne — najczęściej jednak są one złożone z rodzimego żelaza, nic lub mało co różniącego się od ziemskiego; oprócz tego mają w sobie: magnezyum, tlen, nikiel, kobald, chrom, miedź, potas, sód, wapń, arsen, fosfor, azot, siarkę, chlor, węgiel i wód. Co do pochodzenia bolidów i aerolitów podają uczeni rozliczne hypotezy. I tak: jedni utrzymują, że te bryły mineralne są materyałami wybuchowemi, wyrzucanemi przez wulkany księżyca, które, dostawszy się w sferę atrakcyi ziemskiej, spadają na jej powierzchnię. — Inni zaś utrzymują, że może Merkury i Venus, albo i słońce samo z kraterów swych wulkanów wyrzuca ciała z taką siłą odśrodkową, że, ulegając rozpędowi, zamiast na nie powrócić, wirują w przestrzeni — i przez ziemię przyciągane, na nią spadają. Żadna z tych hypotez nie ma dość powagi, aby ostać się w obec licznych zarzutów krytyki — to też, jak dotąd, przypisujemy ich powstanie materyi kosmicznej, w biegu zgęszczonej i w stałe

ciało zamienionej, oraz szczątkom rozbitych komet i innych ciał niebieskich.

Dopiski do art. „Tulacze."

[1]) Powszechnie znanym jest sprytny astrolog Ludwika XI, który zależąc od samowoli króla, a zapytany przezeń, jak długo żyć mu przeznaczono, odrzekł: „Śmierć moja o 3 dni wyprzedzi zgon twój, najjaśniejszy panie" i tym sposobem zapewnił sobie najzupełniejsze bezpieczeństwo z tej strony.

[2]) Według tych mniemań ukazywały się komety, aby zwiastować śmierć: Mahometa (632), Bolesława Chrobrego (1024), Henryka I franc. (1060), papieża Alexandra III (1181), Ryszarda I ang. (1198), Filipa Augusta franc. (1223), cesarza Fryderyka II (1250), papieża Urbana IV (1264), Karola Śmiałego burgun. (1476), Franciszka II franc. (1560) i t. p. Zajęcie Anglii przez Wilhelma Zdobywcę także przypisywano ukazaniu się komety (1066 rok bitwy pod Hastings). W trzy lata po zdobyciu Konstantynopola przez Turków (1456) ukazała się kometa. Jej to wpływowi przypisywano upadek cesarstwa greckiego.

[3]) Wskutek działania planet (szczególniej Jowisza i Saturna) na chyżość biegu tej komety, opóźniło się jej ukazanie tak, iż ujrzano ją dopiero w marcu 1759 r. Obliczył to i przepowiedział matematyk Clérant i astronom Lalande.

[4]) W bieżącym stuleciu najjaśniejszemi były komety: z r. 1811, 1843, 1658, 1861, 1862.

[5]) Parabolą nazywamy krzywiznę o jednem ognisku, której ramiona oddalają się od siebie w nieskończoność. Krzywizna jeszcze bardziej rozwarta niż parabola, zowie się hyperbolą.

[6]) Komet o stwierdzonej powrotności, znamy dotąd 10. Są one:

1) Kometa Halley'a, której powrotność, zapowiedzianą w r. 1704, stwierdzono w r. 1759 i 1835.

2) Kometa Encki'ego o trzechletniej powrotności (1819, 1822, 1825, 1828 i t. d.).

3) Kometa Bieli'ego, powracająca co $6\frac{1}{2}$ lat.

4) Jay'a, wracająca co lat 7.

5) Brorsen'a, co 5 lat powrotna.

6) Arrest'a, co $6\frac{1}{2}$ lat wracająca.

7) Winneckie'go, co $3\frac{1}{2}$ lat powracająca.

8) Tuttle'a o przeszło 13 letniej powrotności — wreszcie

9) i 10) Templ'a z r. 1867 i z r. 1873, wracające blisko co 5 lat.

[7]) Słońce działa na komety czworako: 1) swą atrakcyą, 2) ciepłem, 3) elektrycznością i magnetyzmem i 4) siłą odrzutową.

[8]) Najważniejsze aerolity mierzone i ważone są: 1) aerolit żelazisty, znaleziony w r. 1866 na płaszczyźnie piaszczystej w Chili (ważył 104 kg. i miał 48 cm. wysokości. 2) 9-tego czerwca 1866 r. spadło na Węgrzech parę tysięcy aerolitów, największy z nich ważył 293 kg. 3) Blok żelaza, znaleziony r. 1788 w Tucaman (Argentyna) waży 635 kg. 4) 25-tego grudnia 1869 spadł w Murzuk aerolit o średnicy 1 metra. 5) W r. 1861 znaleziono около Melbourne (Australia) bryłę aerolitu, ważącą 3000 kg. 6) Największe i najcięższe aerolity spadły w Brazylii i Chinach. Jeden z nich ważył 15000 kg.

Czy dział polskiej sztuki będzie na wystawie światowej w Chicago? *).

Mówiono o tem, pisano wiele — a ponieważ to już ostatnie momenta — więc nie trzeba ani siebie, ani drugich okłamywać, ale odpowiedzieć sobie i drugim, że nie będzie. A szkoda że nie będzie.

„Paderewscy, Modrzejowskie, Mierzwińscy, Reszkowie i inni, wielkie z tej strony oceanu zdobyli imię sztuce polskiej. Korzystając więc z tak dobrego początku, starać się teraz należy o rozszerzenie i utrwalenie tej pochlebnej opinii, zwłaszcza że ztąd nietylko moralny, ale i materyalny pożytek być może dla Artystów i Literatów naszych, dla całego narodu nawet.

Dziś po za kilku nazwiskami, Amerykanie nader słabe lub nawet żadnego nie mają pojęcia ani o naszej sztuce ani tembardziej o literaturze naszej. Dopiero przed 2 laty ukazało się tłumaczenie „Ogniem i mieczem," a w r. b. „Potopu"; co zaś do malarstwa, to jedynymi dotychczas reprezentantami są tu: Chełmoński i Wierusz Kowalski, którym się jakoś udało zdobyć tę bogatą ziemię. Firmy te są tu nawet dość popularne, a obrazki ich spotykamy nietylko w handlu, ale nieomal na każdej wystawie — lecz na nich się też i kończy sława naszego pędzla. Co zaś do rzeźby, to tę przedstawiał niegdyś zdolny i płodny artysta Dmochowski, ale ukryty pod obcem, nie polskiem nazwiskiem. Wreszcie są to już dawne dzieje, bo od jego śmierci upłynęło lat 30. Muzyka, stosunkowo silniej jest reprezentowaną, bo oprócz na wstępie wymienionych, mamy tu jeszcze: Kontskich, Niedzielskich, Lambertów, d' Ernestich, Levich, Oborskich i może z pół seciny innych, średniej miary ale użytecznie pracujących artystów. Nadto, żyje tu pamięć Chopina, utwory jego na każdym kroku słyszymy, ale zaledwie ten i ów wie o tem, że i ten geniusz narodził się z ducha polskiego.

Tak dłużej być nie może, nie powinno. Początek już zrobiony, należy pójść dalej. Gdybyśmy dziś nieskorzystali z tej sposobności, byłoby to karygodnem niedbalstwem, zwłaszcza, iż zbliżająca się wszechświatowa wystawa zadanie nasze ułatwić może. Należy więc przedewszystkiem bliżej Amerykanów zaznajomić z naszą literaturą i sztuką oraz z warunkami naszej duchowej produkcyi, co, oprócz wielkiego zysku w ogólniejszem znaczeniu, zapewnić nam może nowy a tak szeroki i korzystny rynek zbytu, którego już płodnym artystom naszym, zwłaszcza malarzom, brakować zaczyna.

Zadanie to spełniłby dziś można najlepiej przez założenie tu spółki wydawniczej dla tłumaczeń oraz agencyi sztuki polskiej i pisma w języku angielskim, w którem byłyby zamieszczane tylko najcelniejsze utwory naszej literatury, oraz, w formie ilustracyj, najlepsze produkcye artystyczne, aby w ten sposób i literaturę i sztukę naszą przedstawić obcym ze strony jak najkorzystniejszej.

Taki jedynie cel mając na widoku, garstka ludzi dobrej woli postanowiła tymczasowo przystąpić do wydawnictwa miesięcznika ilustrowanego w formacie książkowym 8-ki, na wzór innych tego rodzaju wydawnictw tutejszych.

Komitet ten ma nadzieję wkrótce zgromadzić odpowiedni kapitał, a założywszy silny fundament, o ile można, przynajmniej w dalszym ciągu, unikając ofiarności, jak najlepiej wynagradzać każde współpracownictwo, od którego powodzenie zawisło.

Wnosząc z dotychczasowych rezultatów starań komitetu, nabieramy otuchy, iż przedsięwzięcie nasze nie skończy się na dobrych chęciach, bo sprawa wciąż posuwa się naprzód a dzięki hojnej ofierze jednego z najznakomitszych naszych mistrzów i poparciu innych dobrych patryotów, już zdolaliśmy położyć trwały kamień węgielny; sympatyczne przyjęcie jakiego wszędzie zamiar nasz doznaje, dowodzi, iż jest wyrazem powszechnie odczuwanej istotnej potrzeby a ztąd rzeczywisty rokuje pożytek. Należy się nawet dziwić, iż nikt tu jeszcze dotychczas o podobnem wydawnictwie nie pomyślał.

Dziś już ta sprawa została tak daleko doprowadzoną, że rozpoczęcie tego wydawnictwa nie ulega najmniejszej wątpliwości, a nawet mamy nadzieję że jeszcze w r. b. jako pamiątkowym, ukaże się pierwszy tego pisma numer.

A więc niema już czasu do stracenia. Komitet przeto niniejszem odwołuje się do wszystkich Literatów i Artystów Polskich, aby w imię swego własnego interesu oraz w imię interesu całego narodu, gorąco tę sprawę do serca wzięli i jaknajenergiczniej swem współdziałaniem pracę komitetu poprzeć zechcieli, przez spieszne zgłaszania się z gotowością swego współpracownictwa. (Utwory literackie i naukowe oraz korespondencye w obronie interesów, prosimy nadsyłać w języku polskim, a Redakcya postara się o jaknajstaranniejsze ich tłumaczenie). Licząc na to, prosimy o bliższe porozumienie się pod adresem:

Mr. F. A. Koziell 745, 141 st. New York, N. Y."

Tak się wyraża okólnik, który odebrali z Ameryki literaci i artyści polscy. Teraz wartoby się zastanowić nad tem, jakie to są powody i przyczyny, — że działu polskiej sztuki w Chicago zrobić nie można.

Na pierwszym planie zarysowuje się brak takiej instytucyi, któraby miała prawo wystawę robić.

Jako konsekwencya braku tego — jest brak pieniędzy. Naumyślnie postawiłem instytucyę naprzód a pieniądze potem — bo bez Towarzystwa, stowarzyszenia, spółki — lub związku, nie może być o pieniądzach mowy.

Są wprawdzie u nas w kraju Towarzystwa — jest naprzykład Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie i we Lwowie — ale to, ponieważ de facto towarzystwem nie jest, ale jest poprostu prywatnem porozumieniem się zagorzałych przyjaciół sztuki polskiej, którzy 40.000 złr. rocznie podejmują się łaskawie rozdzielać; — 10% artystom, umiejącym się kłaniać, w formie jałmużny — 50% fabrykantom pruskim za oleodruki, 15% na reklamę dla muzyki 13 pułku piechoty, 25% na administracyę. Te czterdzieści tysięcy guldenów dają poczciwi patryoci, którzy o tyle są poczciwi, o ile są naiwni — poczciwi, że dają a naiwni, że się nigdy nie pytają, co się z temi pieniędzmi dzieje. Dla tego powiedziałem, że Tow. Przyj. sztuk pięknych towarzystwem nie jest — ale jest prywatnem porozumieniem kilku zagorzałych przyjaciół sztuki. Zarząd bowiem tego quasi Towarzystwa składa się z kilkunastu panów, których nikt nie wybrał — do których nikt niema zaufania, bo im go nie dał, i którzy rządzą jak szare gęsi — dzięki inercyi — i apatyi, z której nasze społeczeństwo ledwo zaczyna się budzić. Rozgadaliśmy się o tem prywatnem porozumieniu dla tego, że nareszcie już czas zrobić zeń — stowarzyszenie dla popierania polskiej sztuki. A zrobić go niesłychanie łatwo i rezultaty będą nad wszelkie spodziewanie świetne. Bo jeżeli mamy 30 kilka towarzystw sokolskich w Galicyi i wszystkie one razem nie mają więcej dochodu jak 40 do 50 tysięcy rocznie, a jednak są już dziś potęgą w kraju — to tak samo i stowarzyszenie popierania sztuki polskiej, gdyby powstało na miejsce prywatnego porozumienia, jakie jest dziś w celu wyrzucania

*) Prosimy redakcye pism, podzielające zapatrywania Sz. Autora o przedrukowanie artykułu. (*Przyp. Red.*).

w błoto sumy 40000 rocznie — mogłoby nadzwyczajne porobić rzeczy.

Wiadomo, że pieniądz ma tylko wtedy wartość, jeżeli jest użytym, ale stokroć się ta wartość zwiększa, jeźli jest użytym dobrze i rozumnie. O rozumnem i dobrem użyciu 40 tysięcy dochodu Tow. Przyj. sztuk pięknych mowy być nie może — bo ci prywatni panowie samo-wybrani, dożywotni uważają się nie za depozytaryuszów i administratorów pieniędzy cudzych — ale za rodzaj dobrodziejów, którzy wydają na lewo i na prawo pieniądze własne. Artyści polscy w całej tej sprawie odgrywają rolę mniej lub więcej pokornych żebraków, którzy od czasu do czasu — jeżeli pokora ich dochodzi do stopnia, wymaganego przez pana sekretarza od prywatnego porozumienia — dostają, jako dowód najwyższego zadowolenia pana sekretarza — kilkadziesiąt guldenów od czasu do czasu. Tymczasem 40.000 złr. to jest summa ogromna! Rozumna i odpowiedzialna przed walnem zgromadzeniem administracya, mając w ręku taki dochód co rok mogłaby zrobić bardzo wiele — a nawet powiększyć go z czasem: podwoić, potroić. Pewnikiem jest bowiem, że jak z łatwością przychodzi utargować 1 grosz, to z trudnością można napewno 2 lub 3. Więc akcyonaryusze powinni się porozumieć, zebrać się w Krakowie i we Lwowie — i naradzić się nad zmianą statutu Tow. przyjaciół sztuk pięknych, jako na wskróś przegniłego i jak na dzisiejsze czasy jedynego na kuli ziemskiej okazu — statutowej głupoty ludzkiej. Na miejsce tego okazu głupoty ludzkiej, zrobić statut, jaki mają zresztą wszystkie stowarzyszenia, Towarzystwa i spółki w kraju istniejące, a ręczymy, że na przyszłość pieniądze na urządzenie wystawy za granicą zawsze się znajdą — tak samo jak się znalazły krocie tysięcy na wybudowanie własnych gmachów sokolskich w Galicyi. — Sapienti sat.

Antoni Piotrowski.

POKŁOSIE LITERACKIE.

„Przelotne chmury“, poezye — prozą Szczęsnej. Nakładem H. Altenberga. Lwów, 1892.

A więc znowu tomik — poezyj prozą! Rodzaj ten przypłynął do nas dwiema falami — ze wschodu i z zachodu: na wschodzie ojcem jego jest Turgeniew, na zachodzie — chorym bratem Turgeniewa - Baudelaire. Obaj bardzo różne na polu tem obrali sobie zagony; Turgeniew zraszał zagon swój łzami, Baudelaire — opium em; Turgeniew pył z kwiecia zdmuchiwał westchnieniem — Baudelaire zapylał je proszkiem silnych sztucznych pachnideł; kwiecie Turgeniewa jest spokojne, o cichych, szarych, milczących napozór barwach; lecz gdy spada na nie łza z cudzego oka — nagle cudem niby przemawia, odkrywając toń smutków człowieka, który cierpiał za ludzkość całą; kwiatki Baudelaire'a barwne, krzyczące szatą i zapachem, opowiadają tylko o namiętnej naturze i chorych nerwach jednego gatunku ludzi, a raczej jednego człowieka — Baudelaire'a.

Poezye, które p. Szczęsna ochrzciła mianem „Przelotnych chmur“ mają w sobie dużo owego głębokiego liryzmu, który jest rysem charakterystycznym autora „Wiosennych fal“, zasadniczą nutą wszystkich niemal dzieci stepu. Ci „stepowcy“ literatury sięgają okiem ducha w wielką, cichą, bezbrzeżną dal, widzą niezmierzoną przestrzeń żalów i niezgłębioną toń łez ludzkich. I p. Szczęsna przygląda się chmurom, płynącym przez nieskończoność nieba, analizuje powierzchnię bezdennej duszy ludzkiej, podejmuje przelotne wrażenia — krótkie niby — a jednak w istocie swojej nieskończone, po trzykroć nieskończone. „I płyną jedne za drugiemi, łączą się i znikają“ — niby skargi wygnańców — tułaczów, co płyną jedne za drugiemi, łączą się i znikają — w stepie. Wdzięczni jesteśmy autorce, że pozwoliła nam przytrzymać na chwilkę wrażenia, zabarwione świeżym, szczerym liryzmem i rzewnem współczuciem dla wszystkich krzywd i bólów świata. Nie wątpimy, że poezye p. Szczęsnej w niejednem sercu serdeczny znajdą oddźwięk — „płyńcie więc bez końca, lekkie, różnobarwne, niewyczerpane — przelotne chmury — wrażenia.“

* * *

Podjadki szczęścia rodzinnego przez Beecher-Stowe, z przedmową Estei. Warszawa 1892. Nakładem T. Paprockiego i Ski.

Na temat życia i szczęścia rodzinnego pisano już niezliczone tomy. Ostatnim szczeblem odnośnych rozmyślań jest zazwyczaj, albo: pewnik, że szczęście wogóle jest kwadraturą koła, ideałem, którego osiągnąć niepodobna, itd. — albo też: przeświadczenie, iż istotnie trudno znaleźć czarodziejskie zaklęcie, któreby sezam ten otworzyć zdołało. Autorka amerykańska, dobrze, niezwykle dobrze u nas znana p. Beecher-Stowe, usiłuje utorować drogę do tego sezamu, ukazując „podjadki“, które, toczące nas za życia, dalekiej, ciężkiej ścieżyny szukać i znaleźć nam nie pozwalają. „Podjadki“ — to te małe i nizkie pokusy, którym się nikt nie broni, bo ani przypuszcza ich szkodliwości, a one jednak podkopać mogą szczęście w rodzinie.“ Autorka wylicza siedm takich podjadków: 1) duch krytyki, 2) drażliwość, 3) brak otwartości, 4) upór, 5) brak pobłażania, 6) brak uprzejmości, 7) zbytek wymagania. Każdemu z nich poświęca roździał, w którym wymownie i poglądowo szkody przez intruzów tych zdziałane przedstawia. Wytępienie szkodników jest wedle autorki jedynym probierzem szczęścia domowego. Trzeba chcieć i umieć być szczęśliwym w życiu rodzinnem, bo:

„Mistrza tylko dotknięte dłonią
Struny te świętym hymnem zadzwonią
Inaczej wydadzą jęk..“

„Podjadki“ ukazały się w gładkim przekładzie polskim, nakładem czynnej księgarni p. Paprockiego w Warszawie. Książkę poprzedziła nader wdzięczną przedmową pani Esteja. Zapewnia, że „chciałaby jej się sama na pamięć nauczyć, a przedewszystkiem pragnęłaby kierować się jej zasadami w każdej chwili życia.“ — Zasady to bądź cobądź zdrowe i warto się z niemi zapoznać. A potem wojna „podjadkom!“

* * *

MISCELANEA.

W sprawie pomnika Mickiewicza otrzymujemy od dra Ferdynanda Wilkosza, jako zastępcy przewodniczącego budowy tego pomnika, następujące pismo:

Komitet budowy pomnika Mickiewicza otrzymał od artysty rzeźbiarza prof. Rygiera, bawiącego w Rzymie i zatrudnionego pracą około pomnika sprawozdanie o postępie robót a mianowicie: że

1) grupa allegoryczna „*Naród*“ odlaną jest i wykończoną zupełnie z bronzu;

2) grupa „*Poezya*“ jest w odlewie z bronzu i wkrótce ukończona będzie;

3) figura „*Patryotyzm*“ wkrótce z bronzu odlaną będzie;

4) kolosalny posąg figury Mickiewicza jest w modelowaniu i z końcem września b. r. z bronzu odlany będzie;

5) części granitowe z granitu „Biella“ w okolicach Medyolanu, są obrobione i wykończone, i z końcem września b. r. będą ustawione (według osnowy kontraktu o budowę pomnika zawartego, części granitowe mają być z monolitów);

6) grupa allegoryczna „*Nauka*“ w kwietniu 1893 r. ukończoną i z bronzu odlaną będzie;

7) że cały pomnik z końcem czerwca 1893 r. będzie ukończony (wedle osnowy kontraktu termin zupełnego ukończenia pomnika oznaczony jest na 20 listopada 1893 r.)

*** Program projektowanych polskich produkcyj na wystawie wiedeńskiej tak się dotąd przedstawia:

Dnia 5 września *Halka* z udziałem pp. Jana i Edwarda Reszków i panny Pawlików. Udział w tem przedstawieniu panny Ireny Abendroth jeszcze nie został zapewnionym.

Dnia 6 września przedstawienie zbiorowe, złożone z ustępów: *Konrada Wallenroda* Żeleńskiego, *Strasznego Dworu* Moniuszki, oraz *Krakowiaków i górali*. Podobno pani Kochańska zamierza tego samego wieczoru wystąpić w scenie obłąkania z *Łucyi z Lammermooru*.

Dalsze wieczory zależą od tego, jaki okaże się pokup na bilety. Ponieważ na *Halkę* większa połowa miejsc już została zamówioną, przeto spodziewać się należy powtórzenia *Halki* w dniu 7 września, zaś 8 września zapewne odbędzie się drugie zbiorowe przedstawienie, w którem udział weźmie pani Kochańska, oraz panna Abendroth, jako Trawiata.

W dniach następnych odbędą się koncerty muzyki polskiej — prawdopodobnie dwa — w których udział swój zapewnili: Barcewicz, Michałowski, Mierzwiński, Myszuga, panny: Abendroth i Lola Beeth. Prócz numerów solowych, które jeszcze nie zostały ostatecznie oznaczone, wykonane zostaną utwory orkiestrowe: Żeleńskiego uwertura „Tatry,“ Stojowskiego „Intermezzo,“ Zarzyckiego „Suite polonaise,“ Noskowskiego „Morskie Oko.“ Edward Reszke, objawić miał zamiar odśpiewania na jednym z tych koncertów aryi Halbana z „Konrada Wallenroda“ Żeleńskiego.

Jest to główny zarys programu, który oczywiście może w szczegółach uledz niejednej zmianie.

*** Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, dnia 27-go z. m., dr. M. Zdziechowski odczytał ustępy z pracy swej p. t.: „Karol Hynek Macha i bajronizm czeski,“ prof. Morawski podał treść pracy p. Stan. Witkowskiego p. t.: *De vocibus*

hybridis apud antiquos poetas romanos, oraz rozprawy dra Jana Rozwadowskiego p. t.: „O łacińskich słowach odimiennych na *tare*.“ Wreszcie prof. L. Malinowski złożył pracę p. Wład. Matlakowskiego p. t.: „Słownik wyrazów ludowych, zebranych w Czerskiem i na Kujawach;“ jest to dalszy ciąg, uzupełnienie ogłoszonego już przez tego samego autora zbioru wyrazów ludowych. W nowym zbiorze zamieszczono wyrazy ludowe nietylko wzięte z ust włościan, lecz także mieszczaństwa i szlachty. Wszystkie powyżej wymienione prace oddano komitetowi wydawniczemu.

*** W dniach: 12, 13 i 14 bm. obradował w Krakowie zjazd polskich chirurgów pod przewodnictwem prof. Rydygiera, któremu uczestnicy zjazdu wręczyli piękne pamiątkowe album.

*** W teatrze warszawskim wystawiono z powodzeniem komedyę M. Wołowskiego pt.: „Nasze anioły.“

*** O przedsiębiorstwo nowego teatru w Krakowie starają się, obok pp. Gliksona i T. Pawlikowskiego, także pp. W. Rapacki i kompozytor K. Hoffmann.

*** Nakładem Czaińskiego w Gródku wyszła powieść znanego dziennikarza p. St. Błotnickiego pt.: „Za późno,“ której wkrótce poświęcimy kilka szerszych uwag.

*** Muzeum narodowe w Krakowie otrzymało w ostatnich dniach z Paryża piękne dary, zarówno do działu pamiątek, jak i zbioru sztuki polskiej należące. P. Władysław Mickiewicz złożył szereg przedmiotów, niegdyś w posiadadaniu ojca jego będących, jak portrecik cesarza Napoleona z autentycznym napisem, gałązkę z wierzby wyspy św. Heleny, włos i cząstkę szaty Napoleona I. P. Leonard Niedźwiecki ofiarował pięknie wykończony biust bronzowy, wykonany w Paryżu 1868 r. przez artystę rzeźbiarza Boryszowśkiego, rodem z Litwy.

*** Kapituła wyszehradzka (w Pradze czeskiej) powierzyła Edwardowi Jelinkowi rozejrzenie się w części obszernej korespondencyi po ks. Wacławie Sztulcu, tłómaczu Mickiewicza (pierwszy przekład czeski *Wallenroda* w 1838 r.) Jelinek spodziewa się znaleść tam listy Mickiewicza i Krasińskiego, z którymi Sztulc znał się zbliska.

*** „Słowo“ donosi, że biblioteka Raczyńskich w Poznaniu posiada rękopis „Maryi“ A. Malczewskiego; rękopis pisany jest na papierze sinawym ze znakiem wodnym „Holland“ — tytułowej karty brak; na drugiej mieści się znana dedykacya „Do JW. Juljana Niemcewicza podpisano Malczewski.“

*** Na Uniwersytecie Jagiellońskim otrzymali stopnie naukowe doktorów prawa: pp. St. Estreicher, autor rozprawy; „Szekspir w Polsce XVIII w.“ i Juljan Gertler, współpracownik naszego pisma.

*** P. Bronisław Zawadzki, który przysłużył się już naszej literaturze naukowej przyswojeniem jej cennych dzieł Lemckego i Scherra, przystąpił obecnie na zamówienia jednej z naszych firm wydawniczych do przekładu znakomitej dwutomowej „Historyi literatury powszechnej“ Gustawa Karpelesa.

*** Księga pieśni Henryka Heinego przetłumaczoną została przez Łesię Ukrainkę i Maksymiliana Stawiskiego na język ruski i wyszła drukiem towarzystwa im. Szewczenki.

*** Operetka lwowska wystawiła w Krakowie z dużem powodzeniem dwie operetki Millöckera: „Biednego Jonatana“ i „Wiceadmirała.“ Wykonanie obu utworów, jak i wystawa, zasługiwały na szczere uznanie.

*** W Brodach obraduje obecnie zjazd członków gal. Tow. pedagogicznego.

*** Teatr hr. Skarbka we Lwowie ma być odrestaurowany, kosztem 30,000 złr.

*** P. Ign. Matuszewski umieścił w lipcowym zeszycie „Ateneum“ ciekawe uwagi o genezie i znaczeniu E l o i, owej „strażniczki grobów“ z poematu Słowackiego: „Anhelli“. P. M. nie podziela zdania prof. Małeckiego, jakoby Eloa była wymysłem twórcy „Kordyana,“ lecz sądzi, że Słowacki stworzył tę postać, pod wrażeniem poematu francuskiego romantyka de Vigny'ego pt.: Eloa.

*** P. Bolesław Ładnowski, znany artysta i b. reżyser dramatu w teatrze warszawskim, obchodził 30 lecie swej działalności scenicznej. P. Ł. urodził się w 1842 r. w Płocku. Pierwszy raz występował jubilat w lipcu 1868 r. w „Ślubach Panieńskich“ w Warszawie w teatrze Rozmaitości

Nekrologia.

† Leon Lachner, utalentowany wiolonczelista, zdolny pedagog i autor licznych artykułów w „Echu Muzycznem“ i „Bibliotece Warszawskiej,“ zmarł w Warszawie.

† Józef Surewicz, artysta dramatyczny teatrów warszawskich, inspektor porządku scenicznego, zmarł w Warszawie.

† Emil Skiwski, właściciel drukarni, wydawca i redaktor „Przyjaciela dzieci“ i „Tygodnika Mód i Powieści,“ zmarł w Warszawie.

† Edmund Bazire, redaktor „Intrasigeant'a“ organu Rocheforta, znany jako krytyk artystyczny, zmarł w Paryżu.

Treść Numeru:

Z drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Bornsztein.